Nr. 15—16 LWÓW, 1 SIERPNIA 1938 Rok LIX

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO „ŁOWIEC" TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SPRAWY ZWIĄZKOWE

DODATEK POŚWIĘCONY WIADOMOŚCIOM URZĘDOWYM

Kalendarz myśliwski na miesiąc sierpień

w opracowaniu A. Sandera.

W sierpniu wolno polować na sarny-kozły, dziki, ptactwo wodne i błotne, a nadto na wilki, lisy, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie - gołębiarze i krogulce, sroki i wrony, a od dnia 16 także na inne ptactwo krukowate i drapieżne, z wyjątkiem jednak puhaczy, nadto od tegoż dnia wolno polować na jarząbki, słonki, pardwy, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, na cietrzewie-koguty, a w województwach wileńskiem, nowogrodzkiem, białostockiem, poleskiem i wołyńskiem także na cietrzewie - kury

KOMUNIKAT

„VISTULA"

Znaczenie wycieczek dla wzbogacenia wiedzy, przyjemności lub odpoczynku po ciężkiej pracy rolnika i przed dalszym jego trudem jest powszechnie uznane. Ale podróże są kosztowne. A jednak możliwe statkami Polskiej Żeglugi Rzecznej „Vistula" wzdłuż Wisły od Sandomierza do Gdańska i Gdyni dlatego, że „Vistula" wycieczkom rolniczym udziela największych możliwych zniżek, to jest 40% od cen zwykłych. Rolnicy więc płacą jak wycieczki dzieci szkolnych. Dlatego też np. przejazd z Sandomierza do Gdyni i z powrotem na przestrzeni 1424 *km* kosztuje zł. 9,40 i na każde 10 osób płatnych jedna jedzie bezpłatnie.

Aby uzyskać tę zniżkę trzeba kupić najmniej 10 biletów.

Nad Wisłą leżą obie stolice Polski: dawna — Kraków i obecna — Warszawa. Sławne w dziejach grody: Sandomierz, Kazimierz, Puławy z najwyższą, naukową instytucją rolniczą: Państwowy Instytut Gospodarstwa Wiejskiego, a dalej Płock, Toruń, Chełmno, Grudziądz oraz oba polskie porty morskie Gdańsk i Gdynia. Nad Wisłą też leży: Centralny Okręg Przemysłowy — przyszły ośrodek gospodarczej potęgi Polski. A ileż wzdłuż Wisły znajduje się ważnych i ciekawych ośrodków rolniczych, ogrodniczych, budowlanych, spółdzielczych? To też bezsprzecznie należy uznać Wisłę za najważniejszy w Polsce szlak krajoznawczy, który trzeba poznać.

Przytoczone walory podróży Wisłą corocznie ściągają liczne wycieczki tych rolników, którzy poznali jej wartość. Leży to w interesie samej wsi.

W sprawach przejazdu należy się zwracać: albo do Centrali Polskiej Żeglugi Rzecznej „Vistula" w Warszawie, ulica Mazowiecka 12, albo do jednej z placówek Żeglugi, które są w następujących miastach: Sandomierz, Puławy, Dęblin, Wyszogród, Płock, Dobrzyń n. Wisłą, Włocławek, Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz, Tczew, Gdańsk i Gdynia.

RATUJMY TATRY I GÓRALSZCZYZNĘ

Pod tem hasłem odbyło się w Krakowie 3 czerwca br. w szczelnie wypełnionej „sali błękitnej" Domu Katolickiego publiczne zgromadzenie, zwołane przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Ligę Ochrony Przyrody, Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika i Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Celem zebrania było zaprotestowanie przeciw projektowanym na lato br. inwestycjom w Tatrach i przeciw niepowołaniu Państwowej Rady Ochrony Przyrody, które powinno było mieć miejsce w pierwszym kwartale 1938 r. Przewodniczył profesor U. J. dr. Tadeusz Kowalski, zamiłowany taternik i przyjaciel przyrody.

Po referatach, wygłoszonych przez prof. dr. J. Smoleńskiego, księdza dr. F. Machaya i inż. A. Konopczyńskiego, oraz po odczytaniu listu profesora W. Szafera, rozwinęła się dyskusja, w której podkreślono konieczność energicznej akcji w obronie Tatr przed zniszczeniem, między innemi także konieczność przeciwstawienia się artykułom „Turysty w Polsce", propagującym urządzenia kolejkowe w Tatrach. Przewodniczący wyjaśnił, że Polskie Towarzystwo Tatrzańskie nie ma obecnie nic wspólnego z tem wydawnictwem, z którego redakcji w swoim czasie wystąpiło.

Po wyczerpaniu dyskusji przyjęto wśród burzliwych oklasków rezolucję oraz uchwalono jednomyślnie przesłać profesorowi Władysławowi Szaferowi oraz byłym członkom Państwowej Rady Ochrony Przyrody wyrazy czci za niezłomne stanowisko w obronie Tatr.

Rezolucja zwraca się do Pana Premjera z prośbą o wydanie zarządzeń wstrzymujących dalsze roboty, niezgodne z wytycznemi projektu Parku Narodowego w Tatrach, a godzące w swoisty charakter tych gór i rodzimej kultury góralskiej.

ŁOWIECKIE RADY POWIATOWE

BRZEŻANY.

Protokół z posiedzenia Rady Łowieckiej w Brzeżanach, dnia 1 czerwca 1938 r.

Obecni: p. Józef Scholz, łowczy powiatowy jako przewodniczący; p. inż. Wysocki Adam, dyrektor dóbr brzeżańsko-narajowskich, podłowczy, zast. przewodniczącego; p. Sadowiński Gerard, podłowczy-sekretarz Rady; dr. Jarosz Tadeusz, starosta powiatowy; dr. Kaliniewicz Leszek, wiceprezes Klubu Myśliwskiego, delegat na W. Zgromadzenie Oddziałowe; Listowski Wacław, kpt. Siwkowski Józef, członek Zarządu Klubu Myśliwskiego.

Przewodniczący zdaje sprawę ze spostrzeżeń, poczynionych w sprawach łowieckich, a mianowicie:

Z Zarządem dóbr fundacyjnych brzeżańsko-narajowskich i z Klubem Myśliwskim w Brzeżanach porozumiał się, aby wszelkie doniesienia o kłusownictwo, jak niemniej o inne wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu i prawu o broni, wnoszono na jego ręce w 2 egzemplarzach, a to w tym celu, by sprawca był pociągniętym do odpowiedzialności w możliwie najszerszym zasięgu, bo przez sąd i przez władze administracyjne. Ponieważ w tutejszych stosunkach niemal każde naruszenie prawa łowieckiego, względnie prawa o broni idzie w parze z imprezą kłusowniczą, skierowywał jeden egzemplarz doniesienia do sądu, względnie do prokuratora, drugi zaś do starostwa. W następstwie tego sprawca odpowiadał przed dwoma władzami, i jeżeli nawet udało mu się uzyskać uniewinnienie u jednej, to zasądzała go druga władza. Przewodniczący uważa za wskazane, by także Policja Państwowa w analogicznych wypadkach skierowywała swe doniesienia równocześnie do prokuratora i starostwa.

Sprawy, pozostające w związku z łowiectwem, nie zawsze znajdują w sądzie należytą ocenę, a to z tej przyczyny, że w gronie sędziowskiem znajduje się bardzo mało myśliwych; ażeby zapobiec niekorzystnym dla łowiectwa następstwom tego stanu rzeczy, poczynił przewodniczący, jako łowczy powiatowy, kroki celem zamianowania go stałym, zaprzysiężonym znawcą sądowym w zakresie łowiectwa i nauki o broni palnej, co też Rada przyjmuje do wiadomości.

Ponieważ sprawa etyki łowieckiej stale pozostawia wiele do życzenia, proponuje przewodniczący, by opracowany przez niego dla Klubu Myśliwskiego w Brzeżanach „Regulamin polowań“, stanowiący zarazem zwięzły kodeks etyki myśliwskiej, rozpowszechniano także pomiędzy myśliwymi nienależącymi do Klubu Myśliwskiego, — co uchwalono.

Przewodniczący stwierdza, że słownictwo łowieckie w powiecie pozostawia również bardzo wiele do życzenia, wobec czego zachodzi potrzeba rozpowszechnienia słowniczka łowieckiego, opracowanego przystępnie, a zawierającego najwięcej używane słowa; nad słowniczkiem takim pracuje i niebawem odda go do druku w formacie kieszonkowym.

Przewodniczący podnosi, że ogromna ilość psów wiejskich wałęsa się po polach w całym powiecie, szczególnie na Podolu, i wyrządza nieobliczalne szkody w stanie zwierzyny; zachodzi więc konieczna potrzeba położenia skutecznej tamy temu złu. Również wielkie szkody, szczególnie w stanie kuropatw, wyrządzają koty.

Na temat tępienia szkodników ze świata zwierzęcego rozwinęła się dyskusja, w toku której przewodniczący zalecił Klubowi Myśliwskiemu i Zarządowi dóbr brzeżańsko-narajowskich sprawienie kilku puhaczy i szersze szafowanie strzałowem za ubijanie szkodników, tudzież wypłacanie premji za ujmowanie kłusowników i wnykarzy.

W sprawie straży łowieckiej zaznacza przewodniczący, że dopuszcza się ona licznych błędów, zwłaszcza w dziedzinie tępienia wnykarstwa i ścigania kłusowników, wobec czego ofiaruje się przeprowadzić kurs przysposobienia łowieckiego straży, którą to propozycję p. inż. Wysocki imieniem Zarządu dóbr brzeżańsko-narajowskich, a p. dr. Kaliniewicz imieniem Klubu Myśliwskiego z wdzięcznością przyjmują.

Dr. Kaliniewicz podnosi, że ze stawu w Płotyczy wybierane są kopami jaja dzikich kaczek i gęsi i sprzedawane w Tarnopolu. Przewodniczący prosi o szczegóły i dowody i przyrzeka, że po zebraniu materjału postąpi w tej sprawie z całą bezwzględnością. Przewodniczący zaznacza, że liczba wydanych w powiecie kart na broń sama przez się bardzo wielka, bo wynosząca 131 sztuk, nie pozostaje w żadnym stosunku do cyfry 43, t. j. liczby ważnych kart łowieckich. Podnosi nadto potrzebę założenia katastru wszystkich łowisk w powiecie celem umożliwienia kontroli nad niemi i zaznacza, że wielkie szkody wyrządza łowiectwu domokrążny handel zwierzyny, jako główna zachęta i podpora dla kłusownictwa.

Na podstawie wywodów przewodniczącego, Rada uchwala:

I. Odnieść się do starostwa o:

a) wydanie najdalej idących zarządzeń celem skutecznego położenia tamy wałęsaniu się psów i kotów,

b) jak najbardziej rygorystyczne postępowanie przy wydawaniu kart na broń i kart łowieckich, a w szczególności zasięganie w wypadkach wątpliwych opinji Rady Łowieckiej,

c) przynaglenie gmin, które jeszcze nie przedłożyły kwestjonarjusza w sprawie swych łowisk, założenie katastru łowisk dla całego powiatu i udzielenie odpisu onegoż Radzie Łowieckiej,

d) zasięganie opinji Rady Łowieckiej w sprawie wydzierżawiania łowisk gminnych i udzielania Radzie pomocy w sprawie zamknięcia łowisk, które okażą się źle zagospodarowane pod względem łowieckim,

e) wydanie Policji Państwowej zarządzeń, by:

1. we wszystkich wypadkach, w których przestępstwo wedle prawa łowieckiego lub prawa o broni zbiega się z przestępstwem karalnem przez sąd, wnosiła równobrzmiące doniesienia do prokuratora i do starostwa,
2. rozwinęła ścisłą kontrolę nad domokrążnym handlem zwierzyny,
3. w drodze konfidencjonalnej zajęła się sprawami kłusownictwa, wnykarstwa i trucia lisów przy pomocy strychniny, a w wypadkach podejrzanych przedsiębrała niezwłocznie ścisłe rewizje domowe.

Pan starosta zapowiada jak najdalej idącą pomoc i opiekę nad łowiectwem i stosowanie jak najsurowszych kar.

II. Uchwalono następnie odnieść się do Zarządu dóbr fundacyjnych brzeżańsko-narajowskich o jak najściślejszą kontrolę nad strażą łowiecką, o celowe tępienie szkodników na terenach Zarządu, o podniesienie i poprawienie stanu zajęcy przez sprowadzenie świeżej krwi, lub przynajmniej przez wymianę krwi przy pomocy reproduktorów, pobranych z odleglejszych rewirów, o ochronę jarząbka przez zakaz odstrzału i wezwanie funkcjonarjuszów służby leśnej do przystąpienia do Związku.

III. Uchwalono poprzeć w starostwie, by sprzedaż zwierzyny ubitej legalnie — prócz handlu p. Regnera — powierzyć także sklepom pp. Bajgerowicza i Mackowa.

Sekretarz:	Przewodniczący:
Gerard Sadowiński.	*Józef Scholz.*

●

Protokół Walnego Zgromadzenia Powiatowego Członków Polskiego Związku Łowieckiego i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Brzeżanach, dnia 15 czerwca 1938 r.

Przewodniczący p. Józef Scholz, łowczy powiatowy, zagaja zebranie powitaniem przybyłych z p. wicestarostą Połysem, jako przedstawicielem władzy administracyjnej, na czele, następnie zdaje sprawę z posiedzenia Powiatowej Rady Łowieckiej, odbytego w dniu 1 czerwca.

Interwencja przewodniczącego u pana starosty powiatowego pod tytułem ogólnym, jak niemniej interwencje jego w poszczególnych sprawach spotkały się z należytem zrozumieniem doniosłości łowiectwa i jak najżyczliwszem przyjęciem. Również interwencja u pp. prezesa, wiceprezesa i prokuratora sądu Okręgowego, u p. inspektora szkolnego i powiatowego komendanta Policji Państwowej, stwierdziła, że wszyscy oni uznają nader ważne znaczenie łowiectwa dla gospodarstwa krajowego, że poprą w swoim zakresie działania prace Rady i otoczą łowiectwo w powiecie swoją opieką. Za to stanowisko przewodniczący składa im najserdeczniejsze podziękowanie. (Oklaski).

Przewodniczący komunikuje, że z p. inspektorem szkolnym omawiał obszernie sprawę wpływu szkoły dla rozbudzenia w dziatwie zamiłowania do przyrody i zapobieżenia tą drogą niszczeniu gniazd ptactwa pożytecznego przez młodzież wiejską.

U p. komendanta policji poruszył wszystkie sprawy, wyszczególnione w protokole posiedzenia Rady z 1 czerwca i przyrzekł szczególnie dla łowiectwa zasłużonych funkcjonarjuszów policji, przedstawić do nagród względnie odznaczeń. Takież przyrzeczenie złożył na ręce podłowczego inż. Wysockiego, jako dyrektora dóbr Fundacji im. Jakuba hr. Potockiego, odnośnie do fundacyjnej straży łowieckiej.

Przewodniczący podkreśla, że wielkie znaczenie dla łowiectwa będzie miało przyrzeczone przez starostwo zasięganie opinji Rady w sprawie pozwoleń na broń, kart łowieckich i dzierżawy polowań.

Oznajmia wreszcie, że celem propagowania prawidłowego łowiectwa, a w pierwszym rzędzie zasad etyki łowieckiej, odbył kilka wykładów - pogadanek.

Sprawozdanie przewodniczącego przyjęto do wiadomości.

Przystąpiono do omówienia aktualnych spraw bieżących.

Przewodniczący podnosi potrzebę:

1. odświeżenia w większym stylu krwi u zajęcy;

2. ochrony jarząbka przez zaniechanie jego odstrzału i tępienie szkodników, przyczem podkreśla, że jak z jednej strony wskutek wycięcia starodrzewnych wysokopiennych lasów, zmniejszył się stan jastrzębi (gołębiarza i krogulca) tudzież sokołów, tak z drugiej strony wskutek zaniedbania należytego tępienia, zwiększyła się w sposób wprost katastrofalny liczba srok i sojek.

3. Wobec tego wnosi przewodniczący, by członkowie Związku zobowiązali się do systematycznego odstrzału szkodników wszelakiego rodzaju — w pierwszym rzędzie srok i sojek.

Wszystkie te postulaty uchwalono.

Przewodniczący apeluje do zgromadzonych, by o wszelkich wypadkach naruszenia ustaw na szkodę łowiectwa donosili na jego ręce celem nadania dotyczącym sprawom odpowiedniego biegu u władz sądowych i administracyjnych.

Z powołaniem się na uchwałę Walnego Zebrania Powiat. P. Z. Ł. w Jaśle podnosi delegat Kaliniewicz sprawę:

1. polowań na zające,
2. polowań na rogacze,
3. odstrzału zwierzyny łownej przez straż.

Wywiązuje się ożywiona dyskusja, po której przewodniczący stwierdza, że:

a) myśliwi, zrzeszeni w Spółce myśl. „Raj" i „Ponowa" sposobem deptaka (pomyka) wogóle nie polują na zające, a tylko gremjalnie raz do roku w tym samym terenie,

b) Zarząd dóbr Fundacji im. Jakóba hr. Potockiego nie udziela pozwoleń polowania na zające na swoich terenach, a tylko opolowuje je gremjalnie — raz do roku,

c) Klub Myśliwski w Brzeżanach, rozporządzając rozległemi terenami i licząc się z faktem, iż niektórzy jego członkowie nie mogą ze względów zawodowych mieć udziału w polowaniach gremjalnych, dopuszcza wprawdzie polowanie na deptaka, ale czyni to tylko w nielicznych łowiskach, nienadających się do gremjalnego opolowania, przyczem zarazem ogranicza liczbę odstrzału wedle stanu danego łowiska tak, że na poszczególnych członków wypada niewielka liczba zajęcy,

d) co do innych łowisk, w powiecie położonych, to prawidłowo opolowanym bywa jedynie majątek Kurzany p. Eustachego Turzańskiego, inne zaś tereny będą ewentualnie wymagały odpowiedniego uregulowania, co nastąpi niezwłocznie po sporządzeniu katastru łowisk i rozpatrzeniu właściwego ich stanu.

W każdym razie wypadnie wypowiedzieć zasadę, że:

1. Polowanie na zające sposobem deptaka jest dla prawidłowej gospodarki łowieckiej szkodliwe,

2. nawet tam, gdzie słuszne względy przemawiałyby za dopuszczeniem deptaka, należy jednak poddać go najdalej idącym ograniczeniom,

3. polowanie w terenach wyniszczonych deptakiem (i wogóle złą gospodarką łowiecką) należy zamknąć na czas dłuższy.

Uchwalono.

W sprawie polowania na rogacze stwierdził przewodniczący, że:

a) wobec powszechnie uznanej zasady, iż zwierzynie raciczkowej należy się kula (dem Schalenwild — die Kugel), odpada potrzeba powzięcia osobnej w tej mierze uchwały.

b) strzał śrutowy do tego gatunku zwierzyny należy uznać za nieprawidłowy i potępić,

c) tam, gdzie nie bywa przestrzegana, przeprowadzić zasadę odstrzału rogaczy jedynie w porze letniej.

Ad *b)* i *c)* uchwalono.

Mjr. Poplatek podaje, że pod naciskiem władzy leśnej ma Zarząd Fundacji przystąpić do odstrzału większej ilości sarn obojga płci w rewirach, w których stan tej zwierzyny urósł do rozmiarów dla zadrzewienia szkodliwych.

Przewodniczący oświadcza, że Wojewódzki Inspektorat Ochrony Lasów istotnie od dłuższego czasu naciska na Zarząd dóbr Fundacyjnych o zdziesiątkowanie stanu sarn i że Zarząd będzie niewątpliwie zniewolonym spowodować niebawem znaczniejszy odstrzał.

Wywiązuje się dyskusja, której wyniki ujmuje przewodniczący we formę wniosku do Walnego Zgromadzenia M. T. Ł., ażeby, wobec nieobecności p. dyrektora Wysockiego na dzisiejszem Zebraniu, odnieść się do Zarządu Fundacyjnego na jego ręce z apelem, by:

a) odstrzał sarn odbył się jedynie w granicach ścisłej konieczności i tylko na podstawie urzędowego nakazu,

b) by przeprowadzony był bez pomocy psów, przy użyciu broni kulowej i tych jedynie funkcjonarjuszów służby leśnej, którzy bronią tą dobrze władają, a mając doświadczenie łowieckie, nie popełnią przy odstrzale błędów dla prawidłowej hodowli szkodliwych.

Uchwalono.

Na dalsze przedstawienie przewodniczącego wypowiada się Walne Zgromadzenie z całą stanowczością przeciw używaniu — poza wypadkiem urzędownie zarządzonego odstrzału — służby leśnej do odstrzału innej zwierzyny, jak szkodników skrzydlatych, psów i kotów.

Mjr. Poplatek wnosi, by na Walnem Zgromadzeniu M. T. Ł. poruszono sprawę:

1. zamierzonych zmian w kwestji wynagrodzenia szkód, wyrządzonych przez zwierzynę, a w szczególności przez dziki, zmiany te bowiem mogą spowodować odstępowanie od dzierżawienia terenów,

2. ustawowego obniżenia opłat od pozwoleń na broń i kart łowieckich,

3. przychylnego nastawienia wszystkich władz i urzędów dla łowiectwa, by urzędnikom myśliwym nie czyniono trudności w braniu udziału w łowach.

Przewodniczący przyrzeka sprawy te poruszyć na Walnem Zgromadzeniu M. T. Ł.

P. Krynicki wnosi, by:

1. wpłynąć na założenie spółek łowieckich tam, gdzie ich jeszcze nie ma,

2. spowodować, iżby połowa czynszów dzierżawnych od polowań gminnych, wpłacona do kas gminnych na cele hodowlane, na te cele istotnie była obracana,

3. poddać szczegółowej rewizji wydane już pozwolenia na broń i karty łowieckie.

Przewodniczący ad 1. przyrzeka załatwić wniosek przy sposobności rewizji wszystkich łowisk w powiecie na podstawie katastru, który niebawem się ukaże, — ad 2. poczynić potrzebne kroki, ad 3. stwierdza, że prace dotyczące są w toku na podstawie wykazów, które już znajdują się w jego rękach.

Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek Rady, by członkami Powiatowej Rady Łowieckiej na rok bieżący wybrano pp. dra Leszka Kaliniewicza, Wacława Listowskiego, mjra Bronisława Poplatka, kpt. Siwkowskiego Józefa i Eustachego Turzańskiego, delegatem zaś na Walne Zgromadzenie Okręgowe p. dra Kaliniewicza, przy czem zaznacza, że p. starosta dr. Jarosz Tadeusz, zatrzymuje nadal swój mandat do Powiatowej Rady Łowieckiej.

Uchwalono.

Przewodniczący oznajmia, że ułożony przez niego dla Klubu Myśliwskiego w Brzeżanach regulamin polowań jest zarazem zwięzłym kodeksem etyki łowieckiej i proponuje, ażeby na zwołanem ad hoc Walnem Zebraniu powiatowem P. Z. Ł. przyjęto ten regulamin jako obowiązujący także niezrzeszonych w Klubie myśliwych. Oznajmia dalej, że ma w opracowaniu słowniczek najpotrzebniejszych wyrazów łowieckich, który wyjdzie we formacie kieszonkowym, a ma położyć kres nader licznym niedomaganiom na punkcie mowy łowieckiej.

Walne Zgromadzenie uznaje potrzebę regulaminu i słownika i uchwala w swoim czasie zebrać się celem powzięcia w tej mierze formalnych uchwał.

Przewodniczący stwierdza, że liczba członków P. Z. Ł. i M. T. Ł. w tutejszym powiecie wynosi obecnie 18, poczem apeluje do zebranych, by rozwinęli jak najgorliwszą akcję celem pozyskania dla M. T. Ł. i P. Z. Ł. możliwie największej liczby, odpowiednio ukwalifikowanych członków, przyczem zaznacza, że akcja ta powinna być tem intensywniejsza, iż powiat, wobec skupienia przeważającej ilości terenów w ręku Fundacji, przedstawia w porównaniu z innemi powiatami, które rozporządzają znaczną ilością mniejszych łowisk, zgoła odmienny obraz co do liczebności osiadłych w nim myśliwych.

Sekretarz :	Przewodniczący :
Gerard Sadowiński	*Józef Scholz*
podłowczy powiatowy.	łowczy powiatowy.

LUBACZÓW.

Sprawozdanie z Walnego Zebrania organizacji powiatowej Polskiego Związku Łowieckiego powiatu lubaczowskiego, odbytego w Cieszanowie w sali obrad Rady miejskiej w dniu 10 czerwca b. r.

Obecni: Przewodniczący, łowczy powiat., Hugo baron Wattmann, podłowczy dr Henryk Friser, zaproszony delegat starostwa, wicestarosta p Wolański, członkowie P. Z. Ł. Borck-Prek, Sulimirski, Bajorski, Jachym Juljan, Jachym Ignacy, Durkot, Gończarow, Stukart, Bauer, Horoszkiewicz, Zarzycki, Topolnicki, Huk, Wyderka, Müller. Oleński.

Łowczy stwierdza, iż Walne Zebranie zwołane zostało po myśli przepisów statutu i że jest zdolne do powzięcia ważnych uchwał poczem z porządku dziennego obrad:

1. Protokół z poprzedniego Walnego Zebrania przyjęto bez zmian do wiadomości

2. Sprawozdanie z działalności Powiat. Rady Łowieckiej za czas od początku jej urzędowania (sierpień 1937) do dnia Walnego Zebrania.

Łowczy powiatowy po wyjaśnieniu zebranym przepisów § 50 statutu Związku, traktującego o walnem zebraniu powiatowej organizacji łowieckiej przystępuje do sprawozdania z dotychczasowej działalności Pow. Rady Łow.

Powiatowa organizacja P. Zw. Łow. liczy w dniu Walnego Zebrania 31 członków, z czego 17 nadzwyczajnych. Wobec wydanych przez starostwo ważnych na rok bieżący 74 kart na broń myśliwską (nie wliczając w to pozwoleń na broń służbową dla zaprzysiężonej straży łowieckiej) przyjąć należy, iż znaczna ilość myśliwych polujących trzyma się jeszcze zdala od organizacji łowieckiej. Staraniem Pow. Rady Łow. było i będzie nadal wciągać do organizacji wszystkich myśliwych, których przystąpienie do Związku i dla idei racjonalnego myślistwa będzie pożądane, używając w razie potrzeby nawet i nacisku wobec tych polujących, którzy nie zechcą poddać się kontroli i przyjąć obowiązków organizacyjnych.

Kart łowieckich wydało starostwo lubaczowskie 36, co znowu wskazuje, iż poważny odsetek wykonujących polowanie lub biorących udział w polowaniach omija przepis prawa łowieckiego, iż polowanie bez posiadania karty łowieckiej jest wzbronione. Łowczy apeluje do wszystkich myśliwych powiatu, aby o ile wychodzą ze strzelbą do lasu lub w pole, zaopatrzyli się wpierw w kartę łowiecką, a także apeluje do członków Związku zapraszających gości na polowanie u siebie, aby zwracali uwagę, czy goście ci są członkami organizacji i czy polują legalnie w myśl prawa łowieckiego.

Łowczy stwierdza, iż powiatowa organizacja cieszy się względami i poparciem władzy administracyjnej, która zgłaszane jej postulaty Powiat. Rady Łowieckiej traktuje przychylnie, stąd obowiązek zorganizowanego łowiectwa dać władzy administracyjnej jak najwięcej dowodów lojalności przez ścisłe przestrzeganie przepisów prawa w zakresie łowieckim.

Łowczy wzywa obecnych, aby każdy starał się zjednywać dla organizacji łowieckiej myśliwych nie należących jeszcze do niej, członkom nadzwyczajnym zwraca uwagę, iż wielu z nich uzyskało już pełne statutowe prawo do przejścia w grono członków zwyczajnych, apeluje dalej do członków organizacji, by popierali wydawnictwa Małop. Twa Łowieckiego i prenumerowali jego organ „Łowiec“.

Powiat. organizacja pozostaje w stałym kontakcie z Małop. Twem Łowieckiem drogą korespondencji, natomiast kontakt z członkami myśliwymi w powiecie jest dość luźny Łowczy prosi członków, aby informowali Powiat. Radę Łow. lub łowczego o szczególnych wypadkach w ich życiu myśliwskiem, o ciekawych spostrzeżeniach, o wypadkach rażącego kłusownictwa i t. p.

Co do finansów powiat. organizacji podnosi, iż nie pobierano od członków żadnych opłat, zaś od Małop Twa Łow. otrzymano kwotę zł. 15.— na pokrycie kosztów organizacyjnych. Kwota ta została w całości użyta na częściowe pokrycie portorjów. Także i na przyszłość nie zamierza Pow. Rada Łow. obciążać członków opłatami, z uwagi jednak iż taki stan, aby łowczy pokrywał wydatki administracyjne z własnych funduszów, nie jest pożądany, wobec czego przedkłada Walnemu Zebraniu do uchwały budżet administracyjny Powiat. Rady Łow. na rok 1938/39 na kwotę zł. 50.— po stronie wydatków, na pokrycie kosztów portorjów. Pokrycie tego wydatku powinno się znaleźć po myśli paragrafu 48 statutu Związku w dotacji władz organizacyjnych.

Łowczy składa w ręce Walnego Zebrania mandaty dotychczasowej Powiat. Rady Łowieckiej w osobach pp. Bajorskiego, Bauera, Stukarta i Oleńskiego, tudzież mandat delegata do Walnego Zgromadzenia wojewódzkiego p. Zygmunta Karłowskiego, a otwierając dyskusję nad poruszonemi w sprawozdaniu tematami, poddaje obradom i uchwałom sprawy: uchwalenia

JULJUSZ SALWACH
PODŁOWCZY POW.
STANISŁAWÓW

NA MARGINESIE JESZCZE JEDNEGO PROJEKTU NOWELI DO USTAWY ŁOWIECKIEJ

Nowela do ustawy łowieckiej wniesiona przez Rząd na zwyczajną sesję ciał ustawodawczych w r. 1936/37 nie doczekała się załatwienia. Wprawdzie Sejm tę nowelę z nieznacznemi zmianami uchwalił i odesłał ją do Senatu, a ten odesłał ją do swej odnośnej komisji, tam jednak ugrzęzła. Rząd z niej zrezygnował i nie podjął jej ponownie. Natomiast opracowano nowy projekt noweli. Wszystko przemawia za tem, że opracowania tego ostatniego dokonano bez porozumienia ze sferami interesowanemi, t. j. z całą rzeszą myśliwych i hodowców zwierzyny, że go więc dokonano bez koniecznej styczności z przedmiotem, bez znajomości istoty, celów, zadań i potrzeb łowiectwa. Nie dziwota, że ten projekt jest nie tylko znacznem pogorszeniem obowiązującej ustawy łowieckiej, ale nadto przechodzi do porządku dziennego nad powszechnemi i zgodnemi postulatami całego świata łowieckiego, nie uwzględniając zupełnie koniecznych zmian w ustawie, które samo życie za niezbędne uznało, a które nawet już w niektórych ustawodawstwach zagranicznych uwzględnione zostały. Pomijając niezrozumiałą w wielu wypadkach stylizację, projekt wprowadza wiele postanowień niejasnych pod względem prawnym. Był on podobno jeszcze przed kilku miesiącami rozesłany do zaopinjowania poszczególnym urzędom wojewódzkim, których referenci zasięgali podobno opinji myśliwych, ale w formie jakgdyby poufnej i dorywczo, bo nikomu projektu do przestudjowania gruntownego nie udzielono. Co zaś wynikło z tego poufnego zasięgania opinji, nikomu nie wiadomo i to właśnie napawać musi niepokojem. Odnosi się wrażenie, że przy wprowadzeniu w taki sposób nowych przepisów łowieckich decydującą rolę odgrywa chęć zaskoczenia ogółu, uniemożliwienie wszelkiej dyskusji i krytyki i postawienie myślistwa przed faktem dokonanym. Urywkowe tylko postanowienia tego projektu były ogłaszane w poszczególnych pismach codziennych, nawet nie fachowych, nie wiadomo mi jednak, czy pojawiła się gdziekolwiek jaka ocena tego projektu i czy był on dyskutowany i uzgodniony bądź to w Pol. Związku Łow., bądź też w poszczególnych jego oddziałach. Byłoby więc wskazanem, o ile jest jeszcze czas, nim projekt ten wejdzie pod obrady Sejmu, publicznie go omówić i bodaj główne jego niedociągnięcia wytknąć. Nie mając możności dostania tego projektu w całości i dokładnego zapoznania się z wszystkiemi jego przepisami i omówienia ich, nie mogę oczywiście poddać rozpatrzeniu i krytyce całości, chcę więc tylko zająć się temi niefortunnemi dla łowiectwa postanowieniami, które doszły do mojej wiadomości:

I tak: do Art. 2/2. Brzmienie przepisu: „Poluje ten, kto tropi, ściga, zabija zwierzynę“ i t. d. a drugi ustęp: „Nie poluje ten, kto tropi, ściga, zabija zwierzynę w przestrzeniach zamkniętych, zwierzyńcach, ptaszarniach“ jest niejasne. Polowanie jest zawsze polowaniem, obojętne, gdzie to jest wykonywane i czy ten ktoś czyni to zgodnie, czy z pogwałceniem przepisów prawa. Czy ten przepis postanawia, że „w miejscach zamkniętych, zwierzyńcach, ptaszarniach nie wolno wogóle polować nikomu, czy też tylko osobom obcym, czy też ma na celu zaznaczenie, że właścicielowi zwierzyńca, czy ptaszarni wolno robić ze zwierzyną, co mu się podoba i nie obowiązują go w tym względzie przepisy ustawy łowieckiej? Ustęp drugi powinien raczej opiewać: „Nie podlega przepisom ustawy łowieckiej polowanie w przestrzeniach zamkniętych, zwierzyńcach, ptaszarniach“ etc.

Do Art. 12/1. Nieuzasadnionem jest postanowienie, że dzierżawić polowanie mogą tylko osoby fizyczne i stowarzyszenia rejestrowane. Dlaczego od tego prawa są wyłączone stowarzyszenia nierejestrowane, o których mowa w Art. 12 do 18, ustawy o stowarzyszeniach? Wszakżeż stowarzyszenia te istnieją również legalnie, obowiązek zgłoszenia w starostwie tak stowarzyszenia jak i statutów jest przewidziany w ustawie i koniec końców działalność ich podlega kontroli starostwa. Cała różnica między pierwszemi a drugiemi zachodzi w ilości członków, t. zn. że w pierwszych wymagana jest ilość najmniej 15 członków i nie może zejść niżej 10, a w zwykłych wystarczy i 3 członków. Takich stowarzyszeń w Państwie istnieją przecież setki. Mniejszą ilość członków tłumaczy się albo niemożnością zebrania większej ilości członków, albo niemożnością przyjęcia większej ilości z powodu jakości terenów łowieckich, albo wreszcie, że uczestnicy stowarzyszenia chcą po prostu być między sobą, w gronie dobranych myśliwych, ze sobą zżytych. Przecież esencjonalną rzeczą według statutów stowarzyszeń myśliwskich, a więc i zwykłych jest uprawianie polowania. Jeżeli się im odmówi możności wydzierżawienia prawa polowania, to one zawisną ze swemi statutami poprostu w powietrzu, bo siłą faktu cała ich działalność musi ustać a w konsekwencji starostwa będą zmuszone w myśl ustawy, takie stowarzyszenia, nie przejawiające żadnej statutowej działalności, rozwiązać. Kto na tem zyska i kto z tego odniesie korzyść? Z pewnością nie łowiectwo, które na tem tylko straci, a w konsekwencji nastąpi zanarchizowanie łowiectwa. Bo n. p. w tutejszym powiecie na 4 istniejące stowarzyszenia łowieckie zaledwie jedno ma ilość członków wymaganą do rejestracji, pozostałe są zwykłemi stowarzyszeniami. Gdy się im odbierze możność dzierżawienia polowania, co się wówczas stanie z terenami przez nie dzierżawionemi? A przecież wszystkie one razem dzierżawią więcej jak pół powiatu. Koniecznem jest więc rozszerzenie uprawnienia do wydzierżawiania polowań także i na zwykłe stowarzyszenia łowieckie z jednem zastrzeżeniem, by wszyscy członkowie tychże byli członkami Polskiego Związku Łowieckiego. Bezpośrednio z tą kwestją łączy się sprawa sposobu wydzierżawiania prawa polowania. Projekt noweli postanawia, iż wydzierżawienie prawa polowania może nastąpić tylko w drodze licytacji. Czem się właściwie kierował autor tego pomysłu? Kto na tem zyska, że wydzierżawienie może nastąpić tylko w drodze licytacji? Jak już niemożność wydzierżawienia prawa polowania przez stowarzyszenia łowieckie zwykłe doprowadzi do zanarchizowania i dezorganizacji łowiectwa, tak i postanowienie wydzierżawiania prawa polowania tylko w drodze licytacji, doprowadzi do kompletnego upadku łowiectwa. Zarządy spółek łowieckich tylko z niechęcią wydzierżawiają prawo polowania na okres dłuższy, jak 6 lat, t. j. okres minimalny, przez ustawę zastrzeżony. Przemawiają tu pewne względy — powiedzmy utylitarne — ze strony naszych poczciwych kmiot-

ków, będących z reguły członkami zarządu, ale właśnie te same względy powodowały, że dotychczasowy dzierżawca, utrzymujący w swoim własnym interesie dobre stosunki z tymiż członkami, miał niemal pewność, że uzyska w drodze dobrowolnej ugody przedłużenie owego okresu dzierżawnego. Jeżeli jednak co lat 6 będzie prawo polowania wystawione na licytację, a tem samem nastanie możność ustawicznej zmiany dzierżawcy polowania, to musi to sprowadzić w konsekwencji zubożenie terenów w zwierzynę i co zatem idzie kompletny zanik łowiectwa nietylko jako szlachetnego sportu, ale zarazem tak ważnej gałęzi gospodarstwa społecznego. Bo żaden dzierżawca nie będzie tak naiwny, by nie mając zapewnionego długiego okresu dzierżawy, robił jakieś wkłady w dzierżawione tereny, by oszczędzał zwierzynę dla Bóg wie kogo, by czynił wydatki na sprowadzenie zwierzyny celem odświeżenia krwi, na dokarmianie zwierzyny w ciężkiej zimie, by ponosił trudy na szkolenie strażników i nagonki etc. Do licytacji będą stawały najprzeróżniejsze szumowiny społeczne, legalni kłusownicy, którym z powodu bardzo liberalnych postanowień ustawy łowieckiej nie będzie można odmówić przyjęcia do P. Zw. Łow., a tem samem i wydania karty łowieckiej, a które będą leciały na nabycie zaszanowanych i obfitujących w zwierzynę obwodów łowieckich, by w ciągu jednego roku wybić w nim doszczętnie zwierzynę, a potem tak zdewastowany i wyzyskany teren opuścić i na drugi rok już nie płacić czynszu dzierżawnego. Na tak zniszczony teren nieprędko się trafi amator i spółka będzie zmuszona wydzierżawić obwód za psie pieniądze i na dłuższy czas, aby nowy dzierżawca mógł ten teren do właściwego doprowadzić stanu. Straci więc na tem i Spółka łowiecka i łowiectwo. A jeżeli autorowi noweli chodzi o wyśrubowanie czynszów dzierżawnych, to przepis ten nietylko chybia celu, ale jest wybitnie szkodliwym dla rozwoju łowiectwa. Zważmy, że myśliwy, chcąc polować, musi sobie sprawić specjalną odzież do polowania na różne pory roku i na różne rodzaje polowania, cały sprzęt potrzebny do polowania z ustawicznym dokupem amunicji, musi zapłacić wkładkę do Towarzystwa, z którem poluje, a jeżeli nie należy do Towarzystwa zapłacić już znaczny obecnie czynsz dzierżawny i podatek od prawa polowania, wkładkę do P. Zw. Łow., prenumeratę za fachowe pismo łowieckie, wkładkę ubezpieczeniową od wypadku w czasie polowania, kartę na broń, kartę łowiecką, do czego dochodzi jeszcze koszt samego polowania, co już przecież stanowi łącznie wielki wydatek, a tu jeszcze się dąży do podwyższenia czynszu dzierżawnego. Łącznie z projektowanem, jak podniosę w dalszym ciągu, nałożeniem obowiązku na dzierżawcę polowania wyłącznego ponoszenia kosztów na opłacanie szkód zrządzonych przez zwierzynę (bez możności regresu do właściwego winowajcy, specjalnie przy dzikach), zmierza to wszystko jasno i prosto do uniemożliwienia i obrzydzenia każdemu polowania i skazanie myślistwa i łowiectwa na zagładę. W obu tych kwestjach powinno się zachować brzmienie, proponowane w odesłanej przez Senat noweli, a to: „w obwodzie łowieckim wspólnym polowanie może być użytkowane jedynie przez wypuszczenie w „dzierżawę" i nic więcej, a sposób wydzierżawienia pozostawić Zarządowi spółki". Można jednak w wypadkach nadzwyczajnych, n. p. podejrzeń o przekupstwo, jakichś krętactw, zastrzec starostwu możność zarządzenia, by prawo polowania było wydzierżawione przez licytację i to nawet w lokalu starostwa, po porozumieniu jednak z Pow. Radą Łowiecką. A dalej zachować brzmienie poprzedniej noweli pod art. 14/4 „Dzierżawcą polowania może być tylko członek Pol. Zw. Łowieckiego lub stowarzyszenie złożone wyłącznie z członków tegoż Związku". To są jedynie racjonalne postanowienia.

Dalej w art. 24 odrzuconej noweli powinno być utrzymane brzmienie, dotyczące bezpłatnego wydawania ze strony starostwa dla strażników łowieckich pozwoleń na posiadanie i noszenie broni myśliwskiej.

Cel tego postanowienia jest jasny. Tępienie szkodników jest bezwzględną koniecznością przy racjonalnej hodowli zwierzyny, a tem samem przyczynia się do zaszanowania zwierzyny i podniesienia łowiectwa. Bodaj w tym jednym kierunku niechże myślistwo ma jakąś ulgę.

Do art. 25. Okres, na który można wydać kartę łowiecką nie powinien być ograniczony do 14 dni względnie jednego roku, lecz powinno być dopuszczalne, tak jak dotychczas, wydawanie kart łowieckich jak i kart na broń na lat 3, specjalnie dla myśliwych. W tym wypadku opłatę od karty łowieckiej przewidzianą w art. 156 p. 8 ustawy skarbowej o opłatach stemplowych należy uiścić w 3-krotnej wysokości.

Jest to ogromne ułatwienie dla myśliwych jak i zaoszczędzanie pracy w starostwie. Dotychczasowy system wydawania 3-letnich kart łowieckich okazał się bardzo praktycznym i niema żadnego uzasadnionego powodu do zniesienia go.

Art. 48/1 ustanawia obowiązkowy strzał kulowy dla niedźwiedzi, jeleni, łosi, danieli. Dlaczego tem postanowieniem nie są objęte dziki i sarny? Dzik wogóle nie nadaje się do strzału śrutowego, z wyjątkiem warchlaków i wycinków. Zwierzyna zbyt silna i odporna nawet na strzał kulowy, na strzał śrutowy z reguły nawet nie reaguje. Otrzymuje nieraz i kilkanaście strzałów śrutowych i idzie dalej. Oczywiście, że skutki tych strzałów odczuwa boleśnie, męczy się nieraz tygodniami i w końcu w mękach ulega ich skutkom, bez pożytku dla nikogo. Czy celem polowania jest zadawanie męczeńskiej śmierci zwierzynie? Ale niejednokrotnie postrzelony śrutem dzik reaguje wprost przeciwnie i rozjuszony zadaną mu raną, rzuca się na swego gnębiciela, który ponosi dotkliwe skutki swego lekkomyślnego strzału śrutem. Kula zaś daje 99% gwarancję natychmiastowego ubicia dzika, bez mąk i bez szkodliwych następstw dla strzelającego.

Co do sarn: Tylko przy bardzo sprzyjających warunkach, t. j. przy małej odległości do 30 kroków, w czystem i przy bezruchu lub bardzo powolnym ruchu zwierzęcia, daje strzał śrutowy gwarancję natychmiastowego jego ubicia. W 90% kończy się strzał śrutowy dotkliwem poranieniem sarny, przetrąceniem cewki i t. p. i powoduje długie godziny a nawet dnie męki dla biednego zwierzęcia. Sam znam wypadek, jak 3 nemrodów, na wychodnego, dało do rogacza siedm strzałów, ten poszedł zestrzelony do lasu i tam dopiero, z ciężkim mozołem odszukany, musiał być dobity. Przy strzale kulowym może się zdarzyć zaledwie jeden na sto wypadków poranienie zwierzęcia. Z tego powodu w całym świecie myśliwskim jest przyjęta i przestrzegana zasada strzelania i do dzika i do sarny kulą. Na to zasługuje nasza gruba czy szlachetna zwierzyna. I to zastrzeżenie, o ile mi wiadomo, wprowadziła ustawa łowiecka niemiecka.

Do art. 55/2 i 3. Artykuł ten, mówiący o odpowiedzialności za szkody wyrządzone przez zwierzynę, należałoby pozostawić w brzmieniu dotychczasowem, ustalonem w rozp. Prez. Rz. P. z 3 grudnia 1927 z następującym dodatkiem na końcu: „Jeżeli jednak za szkodę odpowiedzialny w myśl poprzednich ustępów właściciel (e) względnie dzierżawca (y) obwodu (ów) jest w możności udowodnić, że w obwodzie łowieckim, w którym szkoda przez zwierzynę została zrządzona, w czasie ostatnich 3 lat, w czasie polowań, bodaj jedyny raz polujący natknęli się na powyż wymienione zwierzęta i była przedmiotowa możność upolowania tychże, a w szczególności co do jeleni, nadto, jeżeli obwód, w któ-

rym szkoda została zrządzona przez jelenia, odpowiada warunkom art. 46 (co do obszaru), natenczas za szkodę odpowiada wyłącznie właściciel względnie dzierżawca obwodu łowieckiego, w którym szkoda została zrządzona".

Uzasadnienie. Za szkody zrządzone przez sarny słusznie odpowiada właściciel względnie dzierżawca obwodu, w którym szkoda została zrządzona dlatego, że sarny są zwierzęciem nie mającem żadnej specjalnej ostoi, przebywającem i mnożącem się wszędzie w lada krzaczkach, zbożu, łubinie itd. Natomiast wprost przeciwnie jelenie i dziki mają swoją ostoję, z której wędrują za żerem. Cóż to jest ostoja, która wchodzi w rachubę przy szkodach jelenich a głównie dziczych, największych i najczęstszych. Popularnie mówiąc jest to mieszkanie dzików, miejsce, gdzie dziki mają tendencję stałego przebywania, gdzie się nawet uporczywie trzymają i skąd się wywodzą. Czy jest do pomyślenia, aby na gruntach obwodów wspólnych gminnych, dziki miały stałe mieszkanie, na tych gruntach stale przebywały i tu się wywodziły? Takie ostoje dzicze mogą znajdować się we większych kompleksach leśnych, w najgęstszych, mało dostępnych gąszczach, ostępach, jarach, debrach, wąwozach, gdzie jest możliwy spokój i bezpieczeństwo, a do których poza właścicielem polowania, może mieć dostęp tylko służba leśna. Z drugiej zaś strony notorycznem jest, że na gruntach małej własności, wchodzących w skład wspólnego obwodu łowieckiego, jak rok długi panuje ruch i niepokój, bo albo paszenie bydła, albo zbieranie jagód, grzybów, ściółki, gałęzi, koszenie i wywóz siana, wyrąb i wywóz drzewa (mówię tu o laskach czyli tzw. łazach chłopskich, bo oczywiście na gruntach ornych, czy łąkach wogóle o ostoi mowy być nie może), gdzie zatem nie może być mowy o zacisznych gąszczach, jarach, debrach. Tutaj zatem może być dzik tylko zwierzyną przechodnią, która zachodzi nocą a wyjątkowo za dnia na żer, a po zrobieniu szkody oddala się od miejsca swego przestępstwa o parę nawet kilometrów i tam zalega. Stwierdzonem bowiem jest, że dzik nigdy nie zalegnie w pobliżu miejsca, gdzie zrobił szkodę, tylko wraca do swej ostoi. Właścicielami więc ostoi są zawsze właściciele większych majątków względnie kompleksów lasów, będący znowu po największej części zapalonymi myśliwymi i hodowcami zwierzyny. Ci zazwyczaj pomagają jeszcze naturze i ściągają do swych ostoi dziki, przygotowując dla nich karmę, czy to w postaci ziemniaków, czy kukurydzy lub padliny, tak samo i jelenie przez zakładanie paśników, lizawek, podkarmianie w ciężkich zimach, ale ci z tej hodowli mają korzyść, bo mogą się rozkoszować w polowaniach, osiągają więc cel hodowli.

Tymczasem nowy projekt ustawy nakłada bezwzględny obowiązek wynagrodzenia szkody na dzierżawców obwodów łowieckich, w których szkoda zrządzona została bez możności regresu do właściwego winowajcy tj. do właściciela ostoi. Co do jeleni robi jeszcze wyjątek, dopuszczając regres w tym wypadku, jeśli obwód łowiecki, w którym wydarzyła się szkoda, nie ma prawa polowania na jelenie ze względu na brak wymaganego ustawą obszaru, ale co do dzików nie czyni żadnego wyjątku i nie dopuszcza regresu. Bezapelacyjnie ma wynagradzać szkodę dzierżawca obwodu, w którym się wydarzyła szkoda, bez względu na to, czy ma na swym terenie dziki i możność polowania na nie. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej niesłusznego? Przecież między obowiązkiem wynagrodzenia szkody a samą szkodą musi istnieć jakiś przyczynowy związek. Bo za szkodę może ktoś odpowiadać tylko wtedy, jeżeli ją zawinił albo osobiście, albo przez swych domowników, czy inwentarz żywy, za których jest odpowiedzialny, względnie jeżeli swojem zaniechaniem, niedołożeniem należytego starania, aby szkodzie zapobiec, tę szkodę spowodował. Tymczasem tutaj o niczem podobnem nie ma mowy. Jakież uzasadnienie może przemawiać za tem, żeby na dzierżawcę nakładać tego rodzaju ciężar, czy też ustanawiać na prawie polowania rodzaj służebności? Powie ktoś, że jednak ten dzierżawca może zapobiec szkodzie przez polowanie na dziki „na zasiadkę". Otóż zasiadka, oczywiście nocna, a właściwie jej skuteczność zależna jest od tylu warunków, że o niej jako prawidłowym sposobie polowania na dziki nie może być mowy. Przedewszystkiem jest to tylko bardzo szczęśliwy traf, jeżeli dzik wyjdzie akuratnie tam, gdzie myśliwy zasiadł, bo dzik ma kilometrowe granice do dyspozycji i tysiące punktów do przejścia, a myśliwy tylko jeden, powtóre musi być noc księżycowa, niebo bez chmur, sprzyjający wiatr. Czy to nie trzeba trafu, by te warunki zeszły się akuratnie razem, kiedy myśliwy może zapolować? Więc ten jedyny sposób możliwy zapobieżenia szkodzie jest niewykonalny i myśliwy nie ma możności zapobieżenia jej.

Takie postawienie może spowodować jedynie ten skutek, że nikt nie będzie chciał dzierżawić polowania we wspólnych obwodach łowieckich, które są narażone na szkody dzicze czy jelenie, w których jednak na nie polować nie można. Największą więc szkodę na tem poniosą wspólne obwody łowieckie, a właściwie gromady, bo nie tylko stracą czynsz dzierżawny za polowanie i odpadnie podatek od polowania, ale ludność straci wszelkie uboczne dochody z wydzierżawieniem polowania połączone, jak za podwody, nagonkę, wynagrodzenie strażników etc. Zostawmy więc to, co było dobrego a nie psujmy ustawy.

A teraz jeszcze jeden ważny zarzut, co do zniesienia ochrony łań i kóz sarnich (Art. 49). Tak łanie jak i kozy powinny podlegać tej samej ochronie przez cały rok jak i klempy. Albowiem ryczałtowe zezwolenie na polowanie, na wszystkich terenach, przez wszystkich myśliwych na samice jelenia, daniela i sarny doprowadzi w krótkim czasie do zupełnego zdegenerowania i wyniszczenia tych zwierząt. Odstrzał tych samic musi być zastrzeżony w drodze wyjątku tylko dla hodowców, którzy swojemi kwalifikacjami myśliwskiemi dają pełną gwarancję, że tego wyjątkowego zezwolenia nie nadużyją, którzy mają możność, ze względu na posiadany obszar łowiecki i odpowiednią służbę, stwierdzić, że między ich zwierzostanem znajdują się sztuki albo chore, albo jałowe względnie stare, że się tak obrazowo wyrażę rozpustnice (bo to u samic tych zwierząt często się zdarza), które ściągają do siebie masowo byki i rogacze tak młode jak i dojrzałe i wskutek swej lubieżności nadmiernie je płciowo wyczerpują tak, że dla zdrowych normalnych osobników żeńskich powstaje następnie brak odpowiednich, w pełnej męskiej sile się znajdujących rozpłodników, wskutek czego z biegiem czasu nastąpić musi powoli zwyrodnienie i wyginięcie zwierzostanu. Otóż takie sztuki powinny być w pierwszym rzędzie odstrzeliwane i to pojedynczo albo przez samych myśliwych, albo przez zaufaną służbę lasową, znającą te sztuki dokładnie z umyślnej osobistej obserwacji. Nigdy jednak takie odstrzeliwania nie mogą być uskutecznione na polowaniach nagonkowych, do tego jeszcze przez zaproszonych myśliwych, bo wtedy pada bez wyboru wszystko, co przyjdzie pod lufę. Oczywiście, że i w razie masowego rozrodzenia się zwierzostanu i stwierdzonego nadmiernego niszczenia kultur lasowych i uzyskanego zezwolenia na odstrzał pewnej ilości samic, musiałaby być ta sama kolejność odstrzału zachowana i dopiero po wybiciu szkodnic i niewyczerpaniu kontyngentu odstrzałowego przyszłaby kolej na zdrowe sztuki. Przy wprowadzeniu możności nieograniczonego polowania na nie grozi poprostu katastrofa tej zwierzynie. Niektóre obwody własne i przeważna część obwodów wspólnych znajduje się w rękach takich myśliwych, których jedynym celem polowania jest uzyskanie jak największej ilości mięsa, przeto tacy myśliwi w bardzo krótkim czasie uporaliby się z samicami sarn i jeleni

*

zwłaszcza wobec równoczesnego zakazu strzelania i polowania na samce nie zważając na to, że pośród nich może paść przeważna ilość zdrowych normalnych, zdolnych do rozpłodu osobników płci żeńskiej, a wskutek tego pozostałaby przy życiu wielka ilość chorych i niezdolnych do rozpłodu, a nadto zwichnięta zostałaby równowaga między ilością obu płci a nadmierna ilość byków i kozłów wyniszczyłaby z kolei znowu pozostałe przy życiu łanie i kozy. Dla praktyków sytuacja i przyszłość tych zwierząt zupełnie jasna. Jest jeszcze inna kwestja, że jest wielu właścicieli obwodów, a niestety i dość leśników, którzy nietylko nie są miłośnikami łowiectwa, ale przeciwnie wrogami zwierzyny, a zapatrują się na nią t y l k o pod kątem widzenia szkód, jakie one w kulturach wyrządzają. Sam znam wypadek, jak nadleśniczy (z wyższemi studjami) wzdychał tylko do tego, aby miał możność doszczętnego wybicia znajdujących się w jego lesie sarn, li tylko dlatego, że mu nadmierne wyrządzają szkody w młodnikach. Słychać, że są nadleśnictwa, gdzie samice jeleni i sarn niszczy się masowo i gdzie te zwierzęta przechodzą już niemal do historji.

Uwagi moje nie wyczerpują oczywiście wszystkich szczegółów nowego projektu noweli, bo nie mogąc otrzymać go do rąk, nie mogę bez obawy poczynienia omyłek czy niedopatrzeń, należycie go omówić. Wobec jednak ogólnego milczenia i jakby się zdawało obojętności dla tej sprawy, chciałbym wywołać jakąś dyskusję, która tylko pożytek przynieść może, bo może ktoś przejrzy i przyzna się do błędu, lub znowu u kogoś przemówi sumienie myśliwskie i skłoni go do poczynienia możliwie skutecznych kroków celem zapobieżenia tak niebezpiecznym dla gospodarki łowieckiej zmianom ustawy.

NASZ KONKURS • UTWORY WYRÓŻNIONE

GEN. WALERY MARYAŃSKI
RYKÓW P. PŁUHÓW

ZE WSPOMNIEŃ WAKACYJNYCH ŁOBUZA

Pamięci mojego najdroższego Stryja ś. p. Stanisława Ajdukiewicza, wielkiego myśliwego i miłośnika zwierzyny, garstkę tych wesołych wspomnień poświęcam.

1. Postrzyżyny

„Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pacholę
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole“...
Adam M i c k i e w i c z: „Pan Tadeusz“, ks. II.

Były to dawne czasy! Upłynęło od nich dużo wody w Dniestrze! Czasy, w których się nie śniło nikomu ani o „Ukrainie“, ani o bolszewizmie, ani o reformie rolnej, czasy, w których stosunek kmiotka do pana był całkiem inny! Ówczesny ruski chłop był istotnie poczciwym elementem, który w zupełności na szczerą sympatję zasługiwał. Nie dziw więc, że stosunki, łączące dwór ze wsią, były patrjarchalne, a chłop, ilekroć go bieda lub nieszczęście przycisnęły, szukał rady i pomocy we dworze i tam ją zawsze znajdował.

W atmosferę tych czasów, dziś niestety do niepowetowanej przeszłości należących, chcę Cię Kochany Czytelniku wprowadzić.

Pamiętam, ukończyłem 4-tą gimnazjalną, przyniósłszy, wbrew obawom, dobre świadectwo — od góry do dołu same „dostateczne“ — a ś. p. Ojciec mój, sam wielki Nemrod, znając moją niepohamowaną żyłkę myśliwską, pozwolił mi w nagrodę wziąć na wakacje tak zwaną „angielkę“.

Jej muszę kilka słów poświęcić, bo na to zasługiwała.

Była to dubeltówka - kapslówka, wprawdzie już w tych czasach całkiem „niemodna“, bo już wtedy prawie wyłącznie używano broni odtylcowej, ale śp. Ojciec mój hołdował zasadzie: „niech się smarkacz najpierw nauczy z kapslówką obchodzić, nauczy się proch szanować“!

Była to zresztą broń wysokiej klasy, śliczna ręczna robota marki „Korsyth et Cpie Leicester Street London“. Dużo się z niej za młodych lat śp. mój Ojciec nastrzelał, dużo z niej różnego zwierza padło, a teraz ja miałem z nią wakacje przepędzić! Spełniły się moje najśmielsze marzenia! Zasługiwała zaś ta strzelba na szacunek, bo biła, jak na ówczesną broń, znakomicie i zapędzała nieraz w kozi rożek różne „Dyany“ i t. p.

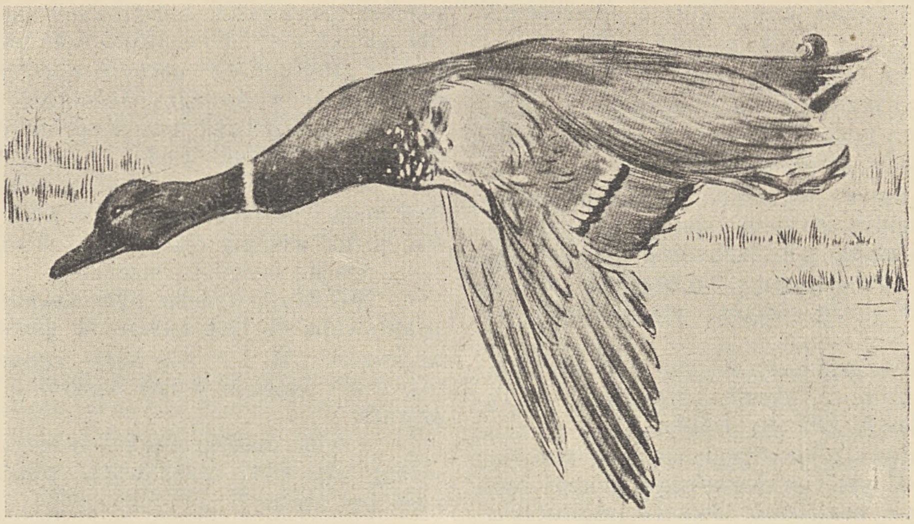
Wakacje miałem spędzić u moich Stryjostwa, którzy mieszkali w małej wioszczynie T., kilkanaście *km* na wschód od Stanisławowa. Z jednej strony gościńca mały folwareczek i dom mieszkalny, przed nim stuletnia lipa, z drugiej kilkanaście chałup, za niemi ze 200 *m* pola, a dalej las.

Przyjechawszy wieczorem i poszedłszy po kolacji spać, nie mogłem się doczekać poranka. Nastał jednak i ten, wypiłem kawę duszkiem i gwiznąwszy na psy, poszedłem.

Zanim dalej będę gwarzył na wesołą nutę, poświęcę kilka słów poczciwym psom. Jeden był „Rozbój“, doskonały dzikarz, kundys, duży, kudłaty, zezowaty, z uciętym ogonem, a każde ucho nosiło ślady walk z różnemi lochami; pod ciemnemi zaś kudłami były liczne blizny od kłów. Zajadły, wierny, czujny, czasem groźny dla włóczęgów, ale zresztą poczciwe psisko.

Drugi był „Hektor“, czarny jak kruk, krótkowłosy pseudo - legawiec; mawiano o nim w owych czasach, że był „czeskiej“ rasy. Znawcy psów krząkali przez grzeczność dyskretnie, gdy była mowa o tej „czeskiej“ rasie, i nie mieli do „Hektora“ tak długo zaufania, aż go na polowaniu poznali; był to bowiem istotnie uniwersalny pies: atakował dziki doskonale, aportował kaczki z najbardziej niedostępnego bagna i to w najzimniejsze dnie październikowe, a gdy łan kukurydzy przeszedł i żadnej kuropatwy ani przepiórki nie ruszył, to można było przysiąc, że tam ich nie było. Jako pamiątka zapasów z dzikami, na które był szczególnie zajadły, zostały mu z jednego ucha tylko strzępy, bo jakaś locha odgryzła mu je prawie do połowy. Ucinanie ogonów wyżłom nie było jeszcze wówczas w modzie, zachował więc „Hektor“ w całości swój ogon, stając zaś „twardo“ do kuropatw lub przepiórek i wyprężając go jak strunę, udowadniał duże pokrewieństwo z pointerami. Do tego zajadły wróg kotów.

Z tymi to dwoma towarzyszami owego pięknego letniego poranku pognałem do lasu.



Akwarela L. de Lajarrige

Jak to już rankami bywa, włóczyła się na końcu lasu jakaś kocica. Psy wnet ją zwietrzyły i w pogoń! Ja za niemi!

Do dziś nie wiem, kiedy i jak znalazłem się pod jakąś niską, rozłożystą gruszą na polu. Między gałęziami błysnęło biało - czarne futerko kocicy. Brzdęk! Kocica trafiona spada na ziemię, psy rzucają się na nią, a równocześnie daje się słyszeć rozpaczliwy wrzask jakiegoś niemowlęcia między konarami gruszy. Z pobliskich zaś konopi wysuwają się dwie baby i do mnie z okrzykiem: „Ubyw detynu“! (Zabił dziecko!).

Jedna z nich, młoda mężatka, Małanka, matka dziecka, a druga straszny babiszon, chudy, siwy, o jednym tylko, ale groźnym zębie, tak zwana „Stara Kostycha“. Opowiadano o niej, że była za młodych lat markietanką w r. 1848 (czasy węgierskiej rewolucji); znała bowiem węgierski, niemiecki a nawet trochę włoski język i paliła namiętnie fajkę. Zdaje się jednak, że była markietanką w r. 1866 w Lombardji, ale tego nikt na pewno nie wiedział. Uchodziła za specjalistkę we wróżeniu, „zamawianiu“ krów, gdy mleka nie dawały, odczynianiu uroków i chorób, znała niezawodne środki na niepłodność bab, czyli wiejska czarownica, jak z powieści!

W wolnych chwilach sprawowała urząd praczki we dworze u śp. Ciotki, ja zaś wierzyłem święcie, że co sobotę jeździła na łopacie na sabat czarownic na Łysą Górę.

Na wrzask bachora, który darł się, jakby go żywcem ze skóry odzierano, na widok tych dwóch groźnych babiszonów, a głównie na myśl, że bachor może coś śrutem oberwał, opadło moje mężne serce o jedno piętro niżej i zdecydowałem się wyrywać do domu, co sił w nogach! Psy, załatwiwszy się w mig z kocicą, podzieliły również moją ocenę sytuacji i zaczęły także rejterować.

I widziano na gościńcu najpierw „Hektora“, gdy wziąwszy ogon pod siebie, kłusował do domu, za nim zezowaty „Rozbój“, za nim ja z dubeltówką, a na końcu o jakie 100 kroków „grupa pościgowa“ z Małanką i Kostychą na czele.

Właśnie po śniadaniu chodził śp. Stryj po podwórzu, paląc papierosa, gdy wpadliśmy we trójkę na dziedziniec.

— „Stryju! Zdaje się, że zabiłem dziecko“!

Groźnie błysnęły duże, niebieskie, zacne Jego oczy.

— „Ech! Mógłbyś uważać!“ mruknął; zdaje się, że dodał: „durniu“! i miałby był niewątpliwie rację, ale dziś nie da się to już ustalić.

„A grupa pościgowa“ z temi dwoma babiszonami na czele tuż — tuż! Już wkracza na dziedziniec! Nie czekając więc, umknąłem do mego pokoiku mansardowego, ukryłem „angielkę“, na wszelki wypadek, pod łóżko i pod osłoną firanki obserwowałem, co dalej będzie.

To była scena, jakiej nigdy w życiu nie zapomnę! Śp. Stryj, który mnie kochał jak własne dziecko, stanął niby odyniec, gotowy do szarży a z pod krzaczastych brwi błysnęły groźnie jego poczciwe oczy.

— „No! A co tam“ — mruknął.

Grupa pościgowa „zastopowała“, poczem babiszony najpierw, jak to było w zwyczaju, ucałowały Stryja w rękę, a potem z wrzaskiem i lamentem:

— „Ta joj proszu łaski Pana! Panycz ubyw detynu“!*). (Prosimy Pana, panicz zabił dziecko).

Stara Kostycha zaczęła opowiadać, jak to niemowlę Małanka dała do niecki i na chustce zawiesiła na gruszy i jak ja strzelając pewnie dziecko zabiłem, bo po strzale bardzo płakało.

— „De detyna“? (Gdzie dziecko?) — pyta Stryj.

Pokazało się, że „detyna“ została w chałupie, ale pewnie „na smert“ zabitą została.

Tymczasem tłum kmiotków i bab, żądnych sensacji, napełnił podwórze. Z tego tłumu wysuwa się olbrzymia postać starego Kościa, męża Kostychy, chudego, łysego starca; szarpie on za rękaw lamentującą Małankę i mówi:

— „Małanka! Ta ne ubyw detyny! Ubyw kitku!“ (Małanko! Nie zabił dziecka, lecz kocicę).

Ale Małanka, nic na to nie zważając, drze się ciągle i zawodzi, że „ubyw detynu“.

Gdy kilkakrotne upomnienia z jego strony pod adresem Małanki, by nie przesadzała faktu, były bez skutku, wystąpił energiczniej, potrząsając ją porządnie za ramię, powiedział:

— „Hadyno! Ne breszy, bo tobi w zuby dam! Ne ubyw detyny ino kitku! Detyna zdorowa, ino sia trocha perepudyła“! (Gadzino! nie kłam, bo ci w zęby dam! Nie ubił dziecka lecz kocicę! Dziecko zdrowe, tylko się trochę nastraszyło!).

Na tę energiczną, co do treści i formy, admonicję, sprostowała Małanka swoje twierdzenie na temat absolutnej pewności zabicia „detyny“ i zaczęła lamentować nad kocicą, chwaląc jej nadzwyczajne zalety.

Śp. Stryj wypogodził swoje groźne oblicze, sięgnął do kieszeni, dał Małance trzy guldeny, t. j. wartość w owych czasach prawie cetnara żyta, baby i stary Kość pocałowały śp. Stryja w rękę, lamenty odrazu ustały, wzajemne „Sława Bohu“ — i szary tłum ruszył z powrotem na gościniec.

Tam jednak zrobił się nagle nowy „sowiet“, na którym główną „speakerką“ była stara Kostycha, gestykulując rękami i błyskając swoim jednym zębem.

*) Umyślnie przytaczam tekst ruski, by nic nie uronić ze swoistego komizmu tej sceny, najzupełniej autentycznej.

Po kilku minutach narad wraca tłum z powrotem! Babiszony znów Stryja cmok w rękę:

— „Pane! Detyna sia duże perepudyła! Treba pidkuryty! Pozwolit panycza troszka pidstryczy“! (Panie! Dziecko się bardzo przestraszyło! Trzeba je podkadzić! Pozwólcie trochę podstrzyc panicza“!).

Dla zrozumienia muszę wyjaśnić, że chłopi ruscy wierzą, jakoby podkurzenie dymem spalonych włosów było niezawodnym środkiem, aby uchronić dziecko od konwulsji z powodu przestrachu. Szczególnie włosy sprawcy przestraszenia mają działać specjalnie skutecznie.

Śp. Stryj, który na wiadomość, że „detyna“ zdrowa, odzyskał znowu dobry humor, fuknął: „Uduriłaś?! Idy do ditka! (Zwarjowałaś?! Idź do djabła!).

Szary tłum, ubawiony nieudaniem się zamachu na moją czuprynę, rozszedł się i w kwadrans potem nastała we dworku znowu beztroska, wesoła atmosfera, przeplatana tylko dowcipami śp. Stryja na temat starej Kostychy.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że babsztyl ten zaniechał swego zamiaru podkurzania przestraszonego bachora.

Następnego bowiem dnia rano, gdy piliśmy kawę, wysunęła się z pod stołu głowa poczciwego „Rozboja“.. z tonzurą, jakby psisko miało zamiar wstąpić do Bernardynów!

Szelma Kostycha zakradła się wieczór do dworu, a znając poczciwego kundla z okazji prania bielizny, wystrzygła mu szczyt głowy do cna i temi włosami podkurzyła niemowlę.

Wszystko tedy zakończyło się dobrze, dziecko nie poniosło szkody na zdrowiu, Małanka za kocicę dostała tyle, że mogła sobie duże prosię kupić, psu odrosły kudły na głowie, a Kostycha uratowała swój autorytet wiejskiej czarownicy, podkurzając dziecko psimi kudłami.

Jeśli jednak myślisz Drogi Bracie w Św. Hubercie, że na tym incydencie skończyły się moje „wyczyny“ w ciągu tych nigdy niezapomnianych wakacyj, to się mylisz.

Jeśli masz cierpliwość, to posłuchaj!

2. Pogrom przyjaciół z jednem uchem

Wszystkiemu winna była lektura „Pana Tadeusza“, czytanego nie wiem już po raz który, oczywiście w chwilach wolnych od uganiania ze strzelbą.

Owe: „... sto kroków — nie chybić!
tak mu kulą zęby wybić“.
Albo ów: „... szlachcic Żegota
co kulą z pistoletu trafiał w biegu kota“

nie dawały mi spać.

Po tajnych naradach z gajowym Fedorem, który, jako stary „raubszyc“, na takich sprawach się znał, wynalazłem najpierw w rupieciarni stryja jakąś maszynkę do lania zwykłych okrągłych kul, wyprosiłem od zaprzyjaźnionego naczelnika stacji kilka kilogramów starych plomb ołowianych i rozpoczęło się ku wściekłemu oburzeniu kucharki lanie kul w kuchni, akurat w czasie obiadu. Oburzenie to każdy zrozumie, kto się choć trochę zna na sztuce kulinarnej i wie, jak wrażliwe na zmianę żaru ognia jest udanie się pieczystego. Kucharyja się wściekała i fukała, ale w rezultacie nalaliśmy z Fedorem prawie pełną torbę kul, od śp. Ciotki wyprosiłem jakieś podarte flanelowe kalesony Stryja, naciąłem z nich tak zwanych „flejtuchów“ t. j. płatków o średnicy około 7 cm, natłuściłem je zlekka roztopioną łojówką — i byłem gotów do strzelania z „angielki“ kulami.

Wedle niezawodnej recepty Fedora nabijało się kapslówkę kulami w ten sposób: po nasypaniu dawki prochu i przytkaniu go „kłakiem“, t. j. przybitką z konopi, owijało się kulę „flejtuchem“, wciskało do lufy, poczem przybijano „ladsztokiem“ tak długo, aż kula osiadła na „kłaku“. To ostatnie było bardzo ważne, bo gdyby kula z „flejtuchem“ utknęła naprzykład w połowie lufy, to strzał spowodowałby absolutnie rozerwanie lufy.

Trzeba jednak było wypróbować tę receptę i trochę do celu postrzelać. Fedor uważał wszelkie strzelanie do celu za niegodne myśliwego marnowanie prochu, gardził niem i dlatego nie brał w niem udziału. Postanowiłem to na własną rękę przeprowadzić.

Ale do czego tu strzelać?

Nie długo trzeba było szukać. Za stajnią bowiem znajdowało się, jak zawsze w ówczesnych dworach, gdy to jeszcze „W. C.“ nie były znane, tak zwane „ciche ustronie“, którego drzwi doskonale się do tego celu nadawały.

A więc prędko asa pikowego z jakiejś zdekompletowanej talji kart tarokowych, pluskiewka na środek — i cel był gotów!

I tu znowu przychodzi mi na pamięć nieśmiertelny Adam:

„Oh! Głupi Saku! Jakiż zapał cię unosi“!

ale słuchajcie cierpliwie, co dalej było.

Rozpoczęła się kanonada kulami do drzwi „ustronia“, trwająca całe popołudnie; wewnątrz nie było w tym czasie nikogo, na co nieomylnie wskazywało położenie haczyka.

Dziwna rzecz i dla modnego balistyka rzecz niepojęta, ale mimo całej prymitywności recepty starego Fedora, trafiałem na około 40—50 kroków coraz częściej w kartę tarokową.. Wprawdzie po niektórych strzałach coś tam wewnątrz „świątyni dumania“ dzwoniło, coś co przypominało dźwięk blaszanych naczyń, ale ktoby tam na takie drobnostki zważał, mając jasno wytknięty cel: zdystansowanie szlachcica Żegoty i księdza Robaka!

„Nadęty pychą przez ten czyn tak wielki“ pokazałem ku wieczorowi postrzelaną kartę śp. Stryjowi, oczekując pochwały.

— „A do czego strzelałeś“?

— „Do drzwi wychodka! odpowiedziałem z dumą.

Stryj jednak jakoś podejrzanie krząknął, a śp. Ciotka spojrzała na mnie jakoś poważnie, co się jej zresztą bardzo rzadko trafiało.

Przypisywałem to postrzelaniu drzwi „a giorno“, bo było w nich około 50 dziur, ale uważałem ten fakt raczej jako skuteczny a chwalebny zabieg celem poprawy dość zresztą wadliwego oświetlenia wewnątrz „ustronia“. Będzie jaśniej do czytania „Pana Tadeusza“!

Nie przejmowałem się więc tem zbytnio!

Dopiero wieczorem po kolacji... tragedja!

Służąca Marcia, która po pościeleniu łóżek, chcąc nocne szafki zaopatrzyć w „przyjaciół z jednym uchem“, poszła po nie do „uroczego ustronia“, wpadła z powrotem z meldunkiem:

— „Ta joj proszu pani! Ta panycz wsi szczo do jednoho postriłały! Wsi nezdali! Kożdyj maje wełyku dieru“! (Proszę pani! Panicz wszystkie .... co do jednego postrzelał! Wszystkie niezdatne do użycia! W każdym wielka dziura!).

Istotnie z porcelanowych i blaszanych naczyń, które za dnia zwykle deponowane były w „cichem ustroniu“, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie uratował się ani jeden! Każdy był „śmiertelnie ranny“. Poszliśmy smutni spać bez „przyjaciół z jednem uchem“ — następnego dnia posłało się do sąsiedniego miasteczka po partję nowych — i sprawa utonęła w wesołych wspomnieniach.

* * *

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że program strzelania kulami à la szlachcic Żegota uległ rewizji, modyfikacji lub zasystowany został. Przeciwnie! Ponieważ trafienie w kartę nie przedstawiało trudności metodą Fedora, więc trzeba było jak najprędzej rozpocząć strzela-

nie do zwierzyny. Z tem było nieco trudniej, bo do kozłów śp. Stryj nie pozwalał strzelać, na zające był czas ochrony, zostawały mi więc... kanie, wrony, sojki, sroki, czasem jakiś kot - włóczęga i na tem koniec. Ile kul w powietrze wypuściłem do nich, Bóg jeden wie, ale kilka wron i sojek ubiłem przecież. Nabijałem więc zasadniczo lewą lufę kulą, prawą śrutem i tak „na wszystko gotowy“ grasowałem w promieniu kilku kilometrów od dworka stryjostwa, siejąc kulami na wszystkie strony.

I znowu był piękny poranek, żniwa w całej pełni, gdy się wysunąłem z lasku na duże pastwisko, przecięte małym jarem.

W tym jarze rosło kilka brzóz a na jednej z nich, formalnie mnie prowokując, siedziała sroka! Podszedłem ją na jakie 30—40 kroków i wypuściłem z lewki kulę, nie bacząc, że akurat w kierunku strzału może na 200 do 300 kroków rozwinięta była, frontem ku mnie, długa tyraljera żeńców obojga płci; co chwilę pojedyncze postacie z rozkraczonemi nogami pochylały się, podnosiły w górę zżęty kłos, kładły na ziemię, wiązały w snopy i t. d.

Sroka chybiona poleciała, ale tyraljera żeńców zwinęła się nagle; zaczęła w dość podejrzany sposób koncentrować się koło jakiejś dziewczyny, właśnie w kierunku mojego strzału. Siwa chmura dymu zdradzała moje stanowisko. Z początku zrobiło mi się trochę markotno, ale, gdy żeńcy wrócili na swoje pierwotne stanowisko i nie wydelegowano żadnej „grupy pościgowej“, — przestałem się tem przejmować. Nabiłem „angielkę“ znowu kulą „na flejtuchu“ i poszedłem w najbliższy las, skąd mnie dolatywało kwilenie kani.

Wieczorem przyszli gajowi, jak zwykle, z raportem do dworu. Meldowali, co kto zauważył i w końcu po gremjalnem „Sława Bohu“ i „Sława na wiky“, zaczęli się mieć ku odwrotowi. Został tylko Hawryło, olbrzymie chłopisko z długiemi włosami i dziurą w twarzy, którą przywiózł z okupacji Bośni w r. 1878; miał on zwyczaj, nim zaczął mówić, krząknąć kilka razy, zdaje się dla dodania sobie odwagi.

— A co tam Hawryło? pyta Stryj.

— Hm, hm.

— No! Co tam!

Znowu: Hm, hm i w końcu:

— „Ta joj proszu łaski Pana, możeby panycz wże kulima ne strelał, bo nyni kula udaryła Maruńku Symaniukowu meże kolinamy i probyła zapasku! Mohło buty wełykie neszczaście! (Proszę łaskawego Pana! Możeby panicz przestał już strzelać temi kulami! Dziś kula uderzyła Maruńkę Semaniuk w spodnicę między kolanami. Mogło być wielkie nieszczęście).

Sprawa miała się istotnie tak, że kula wystrzelona w powietrze pod kątem może 30°, opadając, trafiła dziewczynę między rozkraczonemi kolanami akurat w chwili, gdy podniosła się z uciętem zbożem, dzięki czemu tylko spodniczynę przebijając. Gdyby dziewczyna w chwili strzału była pochylona ku ziemi, byłaby dostała kulą w głowę lub plecy. Św. Hubert czuwał jednak nad „strzelcem kulowym“.

— Eh! Mógłbyś już raz przestać strzelać temi głupiemi kulami! rzekł do mnie śp. Stryj.

Na to Fedor, który był obecny: „Naj diwka ne pchaje sia tam, gde sia strelaje“! (Niechaj się dziewka nie pcha tam, gdzie strzelają).

Jednak po tych „wyczynach“ zrezygnowałem już z konkurencji z księdzem Robakiem i przestałem strzelać Panu Bogu w okna kulami.

3. Granaty w wózku pod siedzeniem

Jeśli Kochany Czytelniku nie masz jeszcze dość tych łobuzerstw, to posłuchaj jeszcze jednego epizodu.

Mianowicie jest rzeczą ogólnie znaną, że jeszcze żaden student na wakacjach nie miał nigdy dosyć prochu. I ja go także nigdy dość nie miałem.

Zaczął się już owych pamiętnych wakacyj piękny sierpień, żniwa się skończyły i, jak co roku, zjechała artylerja ze Stanisławowa do pobliskiej wioski P., by przez dwa tygodnie z 9-centymetrówek Uchatiusa „ostro“ do tarcz strzelać. Ponieważ po ukończeniu strzelania trzeba było zasypywać rowy i okopy, wypłacać odszkodowania za szkody w polu a przedewszystkiem usunąć niewybuchłe szrapnele i granaty, więc zostawał sam na kilka dni jeden oficer z oddziałem kanonierów i likwidował te sprawy.

Ponieważ śp. Stryj znał tego oficera, więc pojechał go odwiedzić i mnie wziął ze sobą. W bardzo pięknym dworze w P., gdzie oficer był zakwaterowany, gwarzyli ci panowie mile przy winie, a ja tymczasem, łażąc po parku i polując na sroki i paszkoty, zwąchałem się z lokajem Antonim, wielkim kłusownikiem i on mi zdradził tajemnicę, w jaki sposób można przyjść do prochu; mianowicie niewybuchłe granaty a szczególnie szrapnele miały zawierać rzekomo doskonały proch, trzeba było tylko zapalnik odkręcić, a to potrafi każdy kowal! Miał on do tego celu uciułany wcale spory zapas tych pocisków i mnie obdarował 2 granatami i 2 szrapnelami; umieściłem je w tarantasie w skrzynce pod siedzeniem i nie mogłem się doczekać zakończenia wizyty, powrotu do domu i konferencji z kowalem. Że zabieg wydobywania prochu z granatów kosztował co roku życie lub zdrowie jakiegoś chłopa, bo bardzo często kończyło się wybuchem, że te manipulacje, jako arcyniebezpieczne, były przez starostwo najsurowiej zabronione, to mnie zupełnie nic nie obchodziło — główna rzecz: proch!

Nareszcie wyruszamy do domu.

Jak długo jechaliśmy po równym gościńcu, wszystko było w porządku, ale gdy zjechaliśmy w teren więcej falisty, zaczęły granaty dawać znać o sobie, tocząc się z hurkotem tam i nazad w skrzynce pod siedzeniem.

W końcu zaintrygowało to śp. Stryja.

— „Charyton! Co za djabeł tam tak pod siedzeniem hurkoce“!?

— „A to panycz upchały tam pid siedzenie sztyry kuli z kanoniw“. (Panicz wsadził pod siedzenie cztery kule armatnie) — odpowiada ze swoistą flegmą ruskiego chłopa furman Charyton.

Stryj zbladł.

„Stój“! wrzasnął na furmana. A miał do tego powód, każdy bowiem, kto znał konstrukcję ówczesnego austrjackiego zapalnika, wie jak bliscy byliśmy rozerwania na paździerze! Iglica bowiem po zgnieceniu przez wystrzał skrzydełek, ograniczających jej ruch, latała zupełnie wolno, mogąc każdej chwili uderzyć w kapslę i spowodować wybuch.

Do mnie zaś: „Zwarjowałeś? mogli nas djabli wziąć bez śladu“!

Wysiedliśmy oczywiście w dość przyspieszonem tempie i potem z należytą ostrożnością, przy granatach zapalnikiem do góry, zaś przy szrapnelach odwrotnie wyładowaliśmy te niebezpieczne dary kłusownika Antoniego do obok znajdujących się kartofli. Śp. Stryj uwiadomił bezzwłocznie porucznika artylerji o tych 4 pociskach i o zapasach Antoniego, wszystko skonfiskowano i był spokój!

* * *

No! Czas mi kończyć garstkę tych wesołych wspomnień. Dziś, gdy od kilku lat darń zielona przykryła na cmentarzu w Tł. na wieki Was niezapomniani drodzy moi Stryjostwo, by dać Wam po ciężkich przejściach wojny światowej, ukraińskiej i bolszewickiej i po licznych kłopotach, dobrze zasłużony odpoczynek, myśli moje coraz częściej wracają do tych szczęśliwych, niby dumkami Bohdana Zaleskiego owianych, czasów.

W myślach składam na Waszej mogile złomek świerczyny, mając serce przepełnione i tęsknotą za temi dniami i wdzięcznością za nie!

BROŃ i AMUNICJA

MGR. STEFAN ĆWIERZEWICZ (LWÓW)

NOWY NIEMIECKI POCISK „D“

O PODWÓJNYM PŁASZCZU

Znana niemiecka fabryka amunicji, Rheinisch Westfälische Sprengstoff Aktiengesellschaft w Norymberdze, po wypuszczeniu na rynek przed kilku laty, cieszącego się wielką popularnością u naszych myśliwych, uniwersalnego pocisku „H“, wyprodukowała w ubiegłym roku nowy pocisk „D“, zaspokajający najwybredniejsze wymagania.

Otrzymawszy nieco danych balistycznych i konstrukcyjnych od zawsze uprzejmych i chętnie wszelkiemi wyjaśnieniami służących Pp. z R. W. S., pragnę podzielić się niemi z czytelnikami „Łowca“.

Wymagania myśliwych, odnośnie do działania pocisku w ciele zwierza, skupiają się naogół w dwu grupach.

Pewna część (o ile zwierz nie pada w ogniu) domaga się od pocisku odpowiednio obszernej rany wylotowej, aby z niej uzyskać odpowiednią ilość farby, t. j. by łatwiejsze było dotropienie postrzałka. Jednem słowem przemawiają za pociskiem przebijającym, powodującym u wylotu obficie farbującą ranę.

Inni są zdania, że lepszy jest pocisk nie dający wprawdzie odpowiedniej rany wylotowej, ale za to zużywający całą swoją energję na rozprysk, hydrodynamiczne działanie i co zatem idzie wstrząs wewnątrz żywego ciała. Bo też w takich wypadkach nie trzeba się szukaniem postrzałka tak wiele trudzić.

Pierwszej grupie myśliwych oddało R. W. S. do dyspozycji pocisk „H“, który przy odpowiednim ciężarze własnym i kalibrze dostosowanym do grubości zwierza, powoduje prawie zawsze obszerny wylot, przy równoczesnym wstrząsie przez porażenie ośrodków ruchowych.

W celu zaspokojenia wymagań drugiej grupy myśliwych, zbudowano pocisk „D“, który oddaje znakomite usługi, powodując rozprysk natychmiastowy i zupełny pomimo zachowania zdolności głębokiej penetracji.

Powszechnie twierdzono dotychczas, iż w każdym wypadku odpowiedni skutek zależy tylko od masy pocisku. Według nowych zapatrywań przeważa opinja, że także mniejsza masa pocisku wystarcza, pod warunkiem natychmiastowego zużycia przezeń odrazu całej swej nabytej energji.

Przypuszczenia, że da się to osiągnąć tylko przez pociski o płaszczu miedzianym, nie zdają się być zupełnie słuszne. Prawdziwem jest tylko to, że w pewnych warunkach np. na większej odległości i przy zmniejszającej się szybkości końcowej, pocisk o miękkim, cienkościennym miedzianym płaszczu, a do tego o kształcie stożkowym, rozbija się o wiele łatwiej aniżeli pocisk o kształcie tępym w grubej, twardej stalowej koszulce. Trzeba dodać, że taki miękki miedzianopłaszczowy pocisk, o wysokiej chyżości początkowej, powoduje szkodliwe i silne zamiedzenie lufy, które może pociągnąć za sobą znane a niebezpieczne następstwa.

Wspomniane trudności dają się najlepiej rozwiązać przez konstrukcję pocisku odpowiednio długiego, który mimo wielkich szybkości umożliwia bardzo dobre „prowadzenie“ przez lufę. Ta jednak część pocisku, która w prowadzeniu go przez gwinty udziału nie bierze, odziana jest w cienkościenny miedziany płaszcz w kształcie stożka. Kształt ten nie daje wprawdzie idealnych wyników balistycznych, niemniej jednak, nadaje pociskowi jako ekspansywnemu (z otworem) zdolność do natychmiastowego rozprysku. Tylna część pocisku musi być o tyle silną i wytrzymałą, aby nie rozpryskiwała się natychmiast przy natrafieniu na jakiś twardszy opór np. na kość jak przy pocisku o płaszczu miedzianym, ale by się ta zdolność rozprysku zachowała dla głębszych części trafionego ciała. W nowym pocisku „D“ osiągnięto te pomyślne wyniki, otaczając część jego tylną płaszczem podwójnym, tak że cały płaszcz miedziany pokryty jest na tym odcinku jeszcze płaszczem z miękkiej stali, który przyczynia się do doskonałego prowadzenia w lufie. Pozatem kombinacja płaszcza stalowego z miedzianym wpływa korzystniej na ciśnienie gazów.

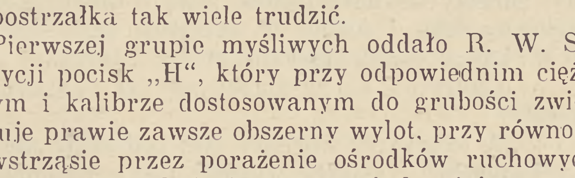
Jak wszystkie nowo ukazujące się wyroby R. W. S., tak również i ten pocisk poddano wyczerpującym próbom tak na przebicie, jak też i praktycznym próbom w żywem ciele.

W porównaniu ze znanym 6-gramowym pociskiem, opatrzonym płaszczem stalowym o ołowianym końcu, pocisk „D“ deformuje się o wiele szybciej. Na stosunkowo niewielkiej głębokości w ciele rozprysk jest możliwie najsilniejszy, nie bez znaczenia jest również potężne jego działanie, wywołujące wstrząs.

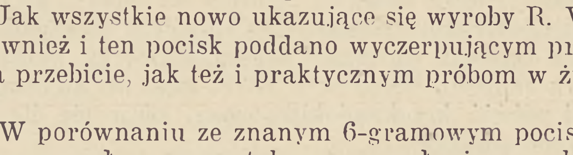
Pod względem własności balistycznych nowy ten pocisk nie ustępuje innym szybkobieżnym. Zalety odpowiadają datom balistycznym, podanym w tabelach R. W. S. na r. 1938 dla naboju 6.5/57 R i 6.5/57 l. fabrykatu 112 i 113.

Używanie tego pocisku nie wymaga żadnych zmian w lufie, ani pod względem jej budowy, ani długości, albowiem jest on wyłącznie przystosowany do znormalizowanych wymiarów łuski, komory nabojowej i kalibru naboju 6.5/57 R i 6.5/57. Średnie ciśnienie gazów wynosi przy naboju z wtokiem 3100 *atm*, natomiast przy naboju z kryzą 2850 *atm*.

Poniżej zamieszczam dane balistyczne tego nowego pocisku :



6,5 × 57



6,5 × 57 R

Nabój	Ilość i gat. prochu	Pocisk rodzaj	Pocisk dług.	Pocisk waga	Długość lufy *m/m*	Szybkość V_0	V_{25}	V_{100}	V_{150}	V_{200}	V_{300}	Energja E_0	E_{25}	E_{100}	E_{300}
6,5×57	2,9 T 39	D-poc.	21,5	6,2	600	1005	960	845	778	718	618	319	291	226	121
6,5×57 R	2,8 T 39				660										

LEOPOLD PAC-POMARNACKI
RADOM

BEKASIK

Z końcem września, na trawiastych moczarach, torfowiskach, wysychających stawach i kałużach z ciemnem, lepkiem błotem, czy grząskim mułem, pojawiają się w całej Polsce małe ptaki, przypominające wyglądem pospolitego u nas bekasa — kszyka. Bawią one krótko, zazwyczaj tylko kilka dni, albo tydzień, poczem niespostrzeżenie znikają. W niektórych jednak miejscowościach, obfitujących w pożywienie, składające się z wodnych owadów i ich larw, biesiadują nieraz aż do połowy listopada, zanim mrozy, skuwające ziemię oraz wody lodowym pancerzem, nie zmuszą ich do odlotu.

Są to bekasiki, zwane także ficlauzami, albo ficlausami. Naukowa nazwa tego bekasa jest *Gallinago gallinula*, lub *Limnocryptes gallinula*. Niemcy zowią go *Haarschnepfe* i bekasem niemym, *Stummschnepfe*, w języku francuskim nazywa się on *la becassine sourde* (bekas głuchy), litewska nazwa brzmi: *ożelis nykszlukas*, rosyjska *Garszniep*.

Z wyglądu bekasik przypomina kszyka, jest tylko od niego znacznie mniejszy. Waga tego ptaka wynosi około 100 gramów. Charakteryzują go delikatne, wydłużone piórka, porastające barki, oraz upierzenie grzbietu o pięknem, mieniącem się i połyskującem fioletowo zabarwieniu. Różni się także od kszyka nieco krótszym dziobem, tak samo od połowy miękkim i giętkim. Jak zwykle u bekasów samiec prawie się nie różni niczem od samicy. Mając jednak możność porównaniu kilku sztuk, widzimy, że są okazy większe i mniejsze. Czy jest to jedna z różnic płci, czy też może wieku — trudno stanowczo twierdzić. Spotykałem bowiem zarówno samce jak i samice wśród okazów różnej wielkości, to też skłonny jestem przypuszczać, że wymiary nie mają tu znaczenia.

Bekasik jest ptakiem północnym, lęgnącym się na północ od Dźwiny, a więc na Łotwie, w Finlandii, Estonji i Rosji, a także w krajach skandynawskich. W Polsce najobficiej występuje w czasie przelotów jesiennych. — Wówczas można go spotkać w całym niemal kraju. Podczas wędrówki wiosennej, trwającej zresztą bardzo krótko, nie spotyka się nigdy tyle bekasików, co w jesieni. Wogóle w kwietniu przelatują one tak niespostrzeżenie, że mało kto zdoła ruch tego ptactwa zaobserwować.

U nas ficlaus lęgnie się wyłącznie na ziemiach północno-wschodnich i to dość rzadko. Brak ścisłych obserwacyj nie pozwala mi na dokładne ustalenie jego okolic lęgowych, to też mogę tutaj podać zaledwie kilka miejsc, gdzie dotychczas gniazdowe bekasiki zostały stwierdzone. Według p. Włodzimierza Korsaka gnieździ się ten ptak na łąkach i bagnach nalibockich i rudźmiańskich w woj. nowogródzkiem. Sam obserwowałem dwukrotnie tokującego bekasika i znalazłem 2 czerwca 1929 r. jego gniazdo w gm. lebiedziewskiej, pow. mołodeckiego, woj. wileńskiego, a według informacyj udzielonych mi przez p. Bohdana Kreczmera stale widuje się tokujące wiosną bekasiki w okolicach Puszczy Kamajskiej na Wileńszczyźnie. W północnych powiatach znacznie więcej zapewne znajduje się stanowisk tego sympatycznego ptaka, jednak z powodu dzikości okolicy nie są one badaczom dotąd znane.

Miejscem lęgowem i tokowiskiem bekasika są rozległe, trawiaste moczary, położone zdala od siedzib ludzkich, albo dzikie, nieużytkowane łąki. Są to najczęściej bagniska, pokryte kępami wysokiej, ostrej trawy, pomiędzy która szkli się woda o rdzawym połysku. W takiej okolicy w ciągu kwietnia i w początkach maja samce odbywają swe toki.

Lot tokowy bekasika przypomina zupełnie grę wiosenną samca kszyka. Podobnie jak tamten, tokuje on zawsze samotnie, wobec jednej tylko samicy.

Wczesnym rankiem, najczęściej jeszcze przed wschodem słońca, lub bezpośrednio po jego zachodzie, gdy czerwień zorzy wieczornej nie poskromiła ostatecznie resztek światła dogasającego dnia — wzlatuje ficlauz kilka metrów nad błoto, a potem chwiejnym lotem opada łukowato, wydając dźwięk podobny trochę do głosu kszyka, w tonie jednak znacznie niższym. Głos ten brzmi jak szybko wymawiane, drżące nieco: „teket-teket-teket“. Opadłszy prawie do poziomu wierzchołków traw, ptak ponownie wznosi się ku górze, by za chwilę spłynąć znowu tokowym lotem w dół. Odbywa się to kilkanaście razy z rzędu. Dźwięki, wydawane przez bekasika są prawdopodobnie także nie pieśnią, ale grą tokową, gdyż rozlegają się jedynie w chwili opadania ptaka. Ponieważ dotychczas zaledwie dwukrotnie miałem sposobność obserwowania toku tego długodzioba, przeto nie mogę stanowczo twierdzić, czy słyszany głos pochodzi z krtani czy też jest wytworem lotek, lub sterówek. Sądząc z zachowania się samca przypominającego bardzo grę kszyka, przypuszczam, że dźwięk ów powstaje w takiż sposób, jak u tego ostatniego, a więc wskutek wibracji wyprężonych lotek i sterówek.

Melodja tokowa ficlauza brzmi znacznie krócej, niż gra jego muzykalnego kuzyna i nie jest tak głośna. Wyraźnie słychać ją zaledwie w odległości dwustu kroków i to przy panującej ciszy. W dni wietrzne dystans ten jeszcze bardziej się zmniejsza. Natomiast grający ptak łatwy jest do zauważenia, gdyż nie wzbija się nigdy tak wysoko w powietrze, jak to zwykle czyni kszyk, a ewolucje swe wykonuje stosunkowo nisko nad poziomem mokradła.

Widziany z dala bekasik przypomina dużego chrząszcza, fruwającego w wesołych pląsach nad łąką, podnoszącego się ustawicznie w górę — to znowu spadającego.

Do gniazda będącego małem zagłębieniem w wyższej, suchej kępie, wysłanem źdźbłami trawy, gładko udeptanemi, samica znosi w ostatnich dniach maja lub w początkach czerwca 4 jajka, przypominające ubarwieniem jaja kszyka, tylko od nich znacznie mniejsze. Tło ich jest barwy oliwkowo-żółtej, na którem rozrzucone są duże plamki brunatne i rude, tak bardzo skoncentrowane w tylnej części jajka, że pokrywają tło niemal całkowicie. Wymiary jajka wynoszą: 3,2 *cm* i 2,2 *cm*.

Po opuszczeniu gniazda, a ma to miejsce już nieraz w godzinę po wylęgnięciu się, cała gromadka koczuje po najbliższej okolicy. Potem jednak poszczególne osobniki zaczynają stronić od siebie i choć przebywają w jednej miejscowości, każdy troszczy się wyłącznie o swoje tylko sprawy. Włócząc się po kraju, stopniowo posuwają się bekasiki coraz bardziej na południe, a na ich miejsce nadciągają osobniki przelotne. Mniej więcej od połowy września ruszają z błot północnych wędrowne rzesze. Lecą ficlauzy małemi stadkami, po 5 do 12 sztuk w każdem, zatrzymując się w drodze najchętniej na wspomnianych trawiastych błotach. W okolicach, gdzie są one lęgowe — gromadzą się w jesieni w znacznej nieraz ilości, podczas, gdy w innych, sąsiednich często miejscach, niema ich zupełnie, albo są bardzo nieliczne.

Bekasiki nie są u nas w okresie przelotów tak rzadkie, jak to się zwykle uważa, jedynie dzięki skrytemu trybowi życia i małej figurce szerszemu ogółowi nie są znane i dlatego mało się o nich słyszy. Nie chcę przez to powiedzieć, że ficlauz jest bardzo pospolity. Wręcz przeciwnie; stanowi on najrzadszy gatunek naszych bekasów, ale w niektórych okolicach widuje się go sporo, nieraz więcej, niż np. dubeltów, czy słonek.

Zauważyłem przytem pewien dość charakterystyczny szczegół, a mianowicie, że bekasiki nie łączą się

z innymi swymi krewniakami, lecz trzymają się zawsze osobno, pojedyńczo, albo w bliskości osobników swego gatunku. Inne bekasy nie stronią tak od siebie i często naprzykład polując z wyżłem spotyka się dubelty, biesiadujące z kszykami na jednej kałuży błotnej. Nie rzadko też widuje się któregoś z bekasów w bliskiem sąsiedztwie brodźców, czy bataljonów.

Nieraz jesienią na pustych dotąd błotach spotykałem liczne rozsiadłe bekasiki, które bawiły tam w ciągu paru tygodni, albo nawet i dłużej, a po pewnym czasie znikały. Na ich miejsce, po krótkiej przerwie, zjawiały się nowe gromadki tego gatunku, przybyłe z północy. Widocznie okolica dostarczała wędrowcom potrzebnego pożywienia i dlatego biesiadowały tu stale.

Jedynym sposobem polowania na bekasiki są jesienne łowy z wyżłem. W większości wypadków są to tylko spotkania podczas zwykłych polowań na bekasy, chociaż bywają okolice tak obfitujące w ten gatunek, że opłaca się specjalnie na nią wyruszyć. Łowy takie rozpoczynają się pod koniec września, to jest w czasie trwania głównego przelotu, a kończą się czasem na krótko przed nastaniem mrozów, a więc w październiku, lub nawet w listopadzie. To też trzeba naprawdę zamiłowanego myśliwego, aby zgodził się brodzić w lodowatej wodzie, poszukując zwierzyny wielkości szpaka i występującej zazwyczaj nielicznie.

Prawdziwy łowiec ma jednak rekompenzatę za trudy w postaci dość efektownego strzału do tego ptaka, którego lot przy wietrznej pogodzie jest bardzo chwiejny. Maleńkie ciałko ptaka nie może stawić większego oporu silnym podmuchom, to też bywa przy wzlocie silnie miotane na wszystkie strony, co bardzo utrudnia strzał, ale zarazem go i uprzyjemnia. Podczas ciszy natomiast jest strzał bardzo łatwy.

Przed wyżłem dosiaduje bekasik twardo, nie wyciekając nigdy piechotą i dopuszcza do siebie blisko. W przeciwieństwie do kszyka porywa się milczkiem i odleciawszy łukowatym lotem kilkaset kroków, znów zapada. Z tego też względu jest odpowiednią zwierzyną dla młodych psów, nie posiadających jeszcze rutyny w wystawianiu ptaków szybko wyciekających.

Mięso bekasika jest nadzwyczaj delikatne i dlatego słusznie uważa się je za przysmak, ceniony dla swej rzadkości.

SPOSTRZEŻENIE Z ŻYCIA KRZYŻÓWKI

Z końcem listopada ub. r. wyszedłem któregoś dnia w południe na obchód łowiska w Związczycy pod Rzeszowem. Posuwałem się, jak to czasem bywało, brzegiem Wisłoka, w górę rzeki.

Naraz zrywa się przedemną z wody stadko krzyżówek, złożone z jedenastu sztuk. Mógłbym wtedy nawet ubić strojnego kaczora, gdybym zdążył nabić na czas swoją strzelbę. Kaczki poleciały sobie spokojnie wzdłuż rzeki, na południe. I dobrze się stało, że nie strzeliłem...

Doszedłszy do miejsca, skąd się podniosły, zauważyłem tam, wśród wystającej z brzegu i pogmatwanej łoziny, zaczepiony o nią, zanurzony do połowy w wodzie i nadpsuty już nieco kadłub czapli-bąka. Skąd się tam wziął, nie mogłem dociec. Był bez piór prawie, z dobrze nadszarpanemi mięśniami.

Pomyślałem sobie, że to zapewne kaczki zaczęły go konsumować, ale nie byłem tego pewny i dlatego postanowiłem kwestję zbadać i wyjaśnić.

Następnego dnia znowu zaszedłem w to miejsce i spędziłem kaczki, nie strzeliwszy do nich, tym razem umyślnie, by ich nie płoszyć.

Z bąka pozostały zaledwie resztki z porozciąganemi strzępami mięsa, które nakształt długich włókien chwiały się na wodzie na wszystkie strony, targane jej prądem.

I trzeciego dnia zastałem tam kaczki, ale z bąka pozostał jedynie obrany z mięsa szkielet wraz ze skrzydłami, łysą głową i długiemi nogami. Później nie znalazłem już ani czapli, ani kaczek.

Zjadły ją ze smakiem, gdyż zapewne pomyślały sobie, że lepiej spożyć, co Bóg dał, niż przymierać głodem... i odleciały.

Władysław Gürtler.



Fot. W. Puchalski

DUDEK

(Podług Phaedra)

Źle ten czyni, kto cudzą rzecz sobie przyswoił!

W pióra się pawie dudek ustroił,
I w tej postawie
Wszedł między pawie.

Poznały zdrajcy świeże rozboje,
Postradał cudze i stracił swoje.

Z tej więc pobudki
Wrócił, — gdzie dudki,
A te w śmiech z niego:
Chciałeś cudzego?

Dobrze ci tak i nikt cię żałować nie może,
Kiedyś stworzon na dudka, bądź dudkiem nieboże.

Z Bajek
Ignacego Krasickiego

MIECZYSŁAW KOSIELSKI
LWÓW

„ZŁOTA PANIENKA“



Jedno ze słynnych zdjęć afrykańskich M. Johnsona (z książki p. t. „SIMBA)“. Lwica ta dała się 4 razy z rządu fotografować przy magnezjowem świetle. *(Red.)*

W prasie niespotykanem i bardzo rzadko praktykowanem jest polowanie na lwy, zwane polowaniem „na pomruk“. Ten sposób polowania wynika ze znajomości trybu życia i przyzwyczajeń króla pustyni. Prawie wszystkie drapieżniki, a w szczególności należące do rodziny felinów, żerują przeważnie nocą, gdyż przewaga wzroku oraz senność upatrzonej zwierzyny powiększają o tej porze wydatnie ich szanse powodzenia. Lew w szybkości i zwinności ruchów ustępuje znacznie ulubionym swym ofiarom: zebrom i antylopom, więc bardzo często nie udają mu się polowania i przez dłuższy czas głoduje; aby temu zapobiec obżera się za każdym razem straszliwie, jakby na zapas, co tem łatwiej zrozumieć, że nie może on wcale liczyć na pozostawione resztki niedojedzonej ofiary, gdyż hjeny, szakale i sępy zawsze mu je odbiorą. Po całonocnej wędrówce nadmiernie objedzony lew jest zmęczony, ociężały i senny, to też, pragnąc wypoczynku, zawsze przy upolowanej sztuce aż do białego dnia pozostaje drzemiąc, przyczem ziewa, burczy i mruczy dość głośno. Temi odgłosami właśnie powoduje się czujne ucho przewodnika, aby myśliwego do strzału doprowadzić. W ten sposób ubił pan K. wspaniałego, starego lwa samca o ciemnej grzywie i rekordowych wymiarach. Jednak nad tem udanem polowaniem dłużej zatrzymywać się nie będę, a mam zamiar szczegółowo opisać inne, bardziej ciekawe, choć nie całkiem udane polowanie „na pomruk“ w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Długo błąkał się pan K. ze swym przewodnikiem wciąż pilnie nasłuchującym po dżungli, aż ten w końcu dał mu do zrozumienia, że już jest za późno, lwy pochowały się w dziennych kryjówkach, więc należy wracać do namiotu. Słońce paliło strasznie, a przed nimi wznosiła się niewielka stroma skała w kształcie głowy cukru; skierowali się ku niej, aby w cieniu odpocząć. Zniechęcony, całkiem machinalnie podniósł pan K. do oczu lornetkę i dostrzegł gdzieś hen za skałą, daleko, pędzącą starą dużą antylopę, jakby „kongoni“ z dwoma młodemi, a za tą rodziną w szybkich susach zdążającą złotawą sylwetkę... chyba — lwa!... Spojrzał na przewodnika, a ten skinieniem głowy potwierdził jego domysł, że to lew. Po chwili wszystkie cztery sztuki zniknęły za skałą, wkrótce jednak po jej drugiej stronie ukazała się duża antylopa z jednem tylko młodem, drugiego już nie było i lew nie ukazał się też wcale. Wniosek stąd prosty: lew pożera „kongoniątko“ gdzieś tam za skałą. Poszli go szukać pilnie nasłuchując i rozglądając się na wszystkie strony, ale nadaremno! Stanęli bezradnie, tracąc chęć do dalszych poszukiwań, gdy w tem z wysoka spłynął ku nim duży sęp, na potężnych skrzydłach o rozstrzępionych lotkach, zakreślił koło nad ich głowami i, usiadłszy na szczycie skały, zgarbił się, skamieniał, patrząc w jeden punkt. Oczywiście, czekał on na zakończenie uczty pana dżungli, aby się jej resztkami uraczyć. A zatem należało znaleźć się w miejscu przez sępa obserwowanem, aby lwa odszukać. Zdążając ciągle w tym kierunku i zatrzymując się coraz częściej w przeświadczeniu, że sęp już wprost na nich patrzy, przekonali się jednak, że nie sposób z całą dokładnością to skonstatować wobec znacznej odległości dzielącej ich od sępa. Kręcili się więc wciąż na niewielkiej stosunkowo przestrzeni bez rezultatu. Wreszcie pan K. zmęczony, speszony, położył się na ziemi, odłożywszy sztucer na bok, i wówczas najniespodziewaniej, własnym oczom nie wierząc, spostrzegł przez lukę wśród wysokich traw o kilka kroków leżącą z podniesioną głową śliczną młodziutką lwicę, przypatrującą mu się ciekawie, jej piękne piwne oczy wyrażały naiwne zdziwienie, zaintrygowana i rozbawiona była widocznie tem, że się jakiś nieznajomy tak poufale w jej sąsiedztwie kładzie, a jeśli się nie uśmiechnęła, to chyba tylko dlatego, że lwy wogóle śmiać się nie umieją. Nie doceniając uroku jej filuternego spojrzenia, K. bynajmniej erotycznie nieusposobiony, nieznacznie sięgnął po sztucer, szybko zmierzył się i strzelił; podskoczyła, skłębiła się po strzale złota panienka i zaczęła w wielkim strachu uchodzić z bolesną raną w boku; podbiegł ku niej K. i przezornie zmieniwszy wystrzelony nabój posłał jej w ślad drugą kulę; w tym momencie nastąpiła radykalna zmiana sytuacji... lwica wnet się odwróciła i przywarowała sprężona do skoku, a w jej przedziwnie zmienionych, fosforycznie-zielonkawo lśniących oczach błysła gwałtowna żądza krwi brutalnego prześladowcy; w tej sekundzie wziął ją K. na cel między oczy, lecz zbyt pośpiesznie nacisnąwszy cyngiel, odczuł najwyraźniej, że zgóruje!... i zgórował rzeczywiście, gdyż trafił w kręgosłup; została więc na miejscu sparaliżowana i następnemi strzałami dostrzelona z litości.

Okazało się, że pierwsza kula przeszyła jej płuca, druga zaś, o dziwo! ugodziła ją podczas ucieczki w piętę tylnej łapy, wobec czego najprawdopodobniej odniosła ona wrażenie, że chwycono ją za tylną łapę i wnet przeszła do kontrataku.

Na zakończenie zaznaczyć należy, że pan K. tylko przez to uniknął śmierci, że mając podwójny sztucer, przezornie zmienił po pierwszym strzale wystrzelony nabój.

Lwów, 19 maja 1938 r.

SKRZYNKA ZOOLOGICZNA

Bataljon bojownik

Pytanie (WPan S., Brzostek): Czy Bataljon jest ptakiem rzadkim czy pospolitym?

Odpowiedź: Bataljon bojownik gnieździ się w całej Polsce, ale nie wszędzie jest jednakowo liczny. Pospolitszy jest w Lubelszczyźnie i na Polesiu. Najchętniej osiedla się na błotach i mokrych łąkach w dolinach większych rzek. W Małopolsce jest dość rzadki i gnieździ się tylko w niektórych okolicach, jak n. p. nad Wisłą, Sanem, Seretem. Na przelotach natomiast jest wszędzie dość pospolity. *Z. G.*

Z MOZAJKI DZICZEJ

WINCENTY HORODYŃSKI
RCHAJE P. SZCZUROWICE

„KAPELUSZNIK“

A było to tak:

W cudny sierpniowy ranek zjawił się u nas we dworze stary gajowy Wojciech, a zameldowawszy się służbowo ojcu i pozdrowiwszy paniczów (wprawdzie bardzo „correct“, ale z odcieniem pewnej protekcjonalności — jak przystało na starego myśliwego wobec zaczynających dopiero praktykę młodzieńców), wypowiedział ważkie zdanie:

— „Kapelusznik“ jest w rewirze. Wychodzi żerować na karczunek obsiany prosem.

Mnie aż podrzuciło. Nie dziwota! „Kapelusznik“ był to olbrzymich rozmiarów odyniec; z białemi bokobrodami, siwy ze starości, legendarny okaz, — jednem słowem fenomen dziczego rodu. Legenda głosiła, że inna kula jak święcona w noc św. Andrzeja na pszenicy go się nie ima. Wielu sławnych myśliwych daremnie starało się móc zaliczyć jego szable do swych trofeów. Najtęższym kłusownikom serce uciekało do gardła, gdy przyszło im się spotykać oko w oko z potężnym a groźnym „Kapelusznikiem“. A nazwa ta powstała stąd, iż odyniec posiadał na górnej części karku narośl w formie kapelusza.

Królował „Kapelusznik“ w naszych i sasiednich rewirach. Poważny bardzo był to pan i lubiał spokój. Czasami znikał i zaszywał się w gąszcze wielkich lasów. Wówczas słuch o nim ginął. Tylko o zmroku, po chatach, starzy doświadczeni kłusownicy opowiadali szeptem podrastającej młodszej generacji o niesamowitym dziku, którego ani kulą, ani lotkami ubić nie można. A słuchając tych opowieści niejeden, na pozór bardzo buńczuczny, Hryć czy Iwaś wolał nie spotkać się z „nesamowytym“.

Wiedząc od gajowego, gdzie chadza na żer ów praszczur dziczego rodu, postanowiłem i ja spróbować szczęścia i zasiąść do świtu na zasiadce. A że właśnie niedawno za przejście z jednej klasy do drugiej otrzymałem od stryja mego w podarunku piękną dwudziestkę, która dobrze strzelała okrągłemi kulami — pewny siebie wyruszyłem na łów.

Noc była, gdy dom opuściłem. Noc cudna, gwiaździsta, spokojna. Noc taka, w jaką starsi nieco ode mnie marzyliby napewno o królewnach dalekich (było to przed wojną i królowie byli w modzie). Ale że byłem jeszcze bardzo młody, myśli me nie sięgały tak daleko a wysoko. O jednem tylko myślałem — jedno miałem pragnienie: spotkać się z „Kapelusznikiem“. Układałem sobie w głowie najrozmaitsze fortele, jak będę stał, jak się złożę, a po sto razy powtarzałem sobie „nie gorączkować — dobrze zejść na komorze“. Pia desideria!

Ustawiony przez gajowego na skraju lasu, nad polana obsiana stygnacem już prosem, czekałem. Dochodziły mie jakieś odgłosy z prosa, ale co to było, odróżnić nie mogłem.

Nagle usłyszałem przed sobą w prosie odgłos mlaskania. Stękanie jakieś i jakby zrywanie prosa, jednem słowem — odgłosy żerujacych dzików. Serce mi zabiło żywiej, nie widze jednak zupełnie nic, sylwetka dzika zlewa się zupełnie z cieniami łanu.

Cicha modlitwa „Boże, żeby już wreszcie zaczęło świtać“. I dobry Bóg spełnił wkrótce moje życzenie i moją prośbę. Rozwidniało się. Drzewa nabrały konturów, łan prosa zarysował się wyraźniej. Wówczas zauważyłem nie dalej jak na 50 kroków przed sobą jakąś czarną masę. Wpatrywałem się w nią jak kochanek patrzy w twarz najukochańszej swej bogdanki. A gdy stało się jeszcze jaśniej, zauważyłem dużego odyńca i o dziwo z dużym garbem na karku. „K a p e l u s z n i k“! Wszystkie postanowienia niegorączkowania mimo bohaterskich wysiłków opanowania nerwów wzięły natychmiast w łeb. Serce biło jak młotem a krew w skroniach tętniła co sił.

Złożyłem się — nie wytrzymałem! Było bezwarunkowo jeszcze za ciemno, muszki nie było prawie widać. Ale mimo tego postanowiłem strzelić. Muszka szukała komory... a gdy osądziłem, że ją znalazła, pociągnąłem za spust. Huknął strzał! „Kapelusznik“ skoczył, jakby piorun koło niego uderzył — i ruszył w tempie, w jakiem tylko dzik ruszyć potrafi. Strzeliłem drugi raz... W prosie powstał zamęt, gdyż żerowały tam i inne sztuki — a potem zapanowała cisza.

Pobiegłem na strzał. Pewny byłem, że dostał. Jednak widać zbytnia emocja zrobiła swoje, — farby nawet na lekarstwo doszukać się nie mogłem.

„Kapelusznik“ raz jeszcze miał szczęście — był gładko chybiony.

Chadzał dalej spokojnie po borach i lasach. Gdy nadeszła wielka wojna, dziwił się zapewne, widząc posuwające się przez gąszcze tyraljery. Sądził pewnie, że to jakaś olbrzymia obława. Dziwił się jeno, że wszyscy naganiacze uzbrojeni są w broń huczącą. Poznał tedy, że to nie prawdziwe polowanie. Nie wróżąc z tego nic dobrego, cofnął się w niedostępną głębię lasu i stał się jeszcze ostrożniejszym.

Nie zginął ani od kuli myśliwskiej, ani od lotek kłusownika. Zawsze udawało mu się wydostać z obierzy, bo był stary i mądry. Zginął śmiercią naturalną — ze starości. Gdy uczuł zbliżającą się niemoc, zaszył się w najgłębszy kąt matecznika, wyszukał wygodne legowisko w dużem mrowisku i zaległ. Życie spędził pożytecznie, wielu pozostawił potomków, dużo przysporzył emocji myśliwym — strachu kłusownikom. W swem dziczem sercu był rad z siebie. Zasnął i więcej się nie obudził.

Posłany raz za postrzałkiem gajowy, zameldował w leśnictwie, że postrzałka nie doszedł, ale za to znalazł martwego olbrzymiego odyńca z naroślą w kształcie kapelusza na głowie.



Fot. W. Puchalski

POZUJEMY DO FOTOGRAFJI

STANISŁAW BARABASZ
ZAKOPANE

WSPOMNIENIA Z POLOWAŃ „BORU“

Towarzystwo myśliwskie „Bór“, powstałe w Krakowie, dzierżawiło w latach 1904 do 1920, kolejno rewiry w Czchowie i Iwkowej, Wielkich Oczach, w Toporzyskach i Wysokiej koło Jordanowa. Ja należałem przez kilka lat jako członek do tego Towarzystwa, później zaś byłem stale zapraszany na polowania jako gość.

W Czchowie i Iwkowej było w lasach trochę zajęcy, sarn i dużo lisów, ale dzików stałych, o które głównie chodziło, tam nie było. Były czasem przechodnie, zato kłusowników było coniemiara. Spotykało się i zbierało mnóstwo sideł z drutu i włosia.

Pewnego dnia zabiliśmy dwa lisy z drutami na szyi. Jeden z nich miał tak silnie zaciśnięty drut, że skóra na szyi była przecięta i zaropiała. Chudy był jak trzaska, bo nic jeść nie mógł. Dwie strzelone sztuki sarn zabrali nam kłusownicy podczas polowania.

Na te polowania zajeżdżało się do budynku niegdyś dworskiego w Jurkowie. Rezydował tam starozakonny z mniejszości narodowej. Mieszkaliśmy na piętrze. Podłoga była pojedyncza, przez którą widziało się światło w dolnem mieszkaniu i wszystko słyszało. A że nasza wiara myśliwska miała temperament, śpiewała, tańczyła i tupała nogami do późnej nocy nie żenując się wcale, więc lokatorzy z dołu nie użyli spokoju, bo cały dom się trząsł, lampa, zawieszona u sufitu, kołysała się jakby podczas trzęsienia ziemi i wapno sypało się z powały.

Stary żyd mówił do nas: — Ja panów bardzo lubię jak przyjadą, a jeszcze bardziej lubię jak panowie odjadą.

Bo proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Jeden z myśliwych (Wł. Tetmajer) zaintonował znaną piosenkę:

„Jak to na wojence ładnie —
Kiedy ułan z konia spadnie i t. d.,

siadł okrakiem na stołek jak na konia, wszyscy go naśladują i zaczyna się jazda po pokoju. Konie wierzgają, ułani harcują, a jeden z nich, któremu koń się rozbrykał, wyskoczył z koniem na stół.

Żydki wybiegły z przestrachu na pole, bojąc się, że dom się zawali.

Wesołe to były czasy, humoru nie brakło, bo wino go podsycało i młodość była.

A stara baszta w Czchowie stała obok zadumana i cicha, przypominała sobie dawno minione dnie, gdy wracano gwarno ze zbrojnej wyprawy i wino lało się strugami.

Czasy się zmieniają!

Polowanie w Wielkich Oczach było dzierżawione dla cietrzewi i dzików. Cietrzewi było tam dosyć i te strzelało się na tokach z budek. Ciąg słonek był niezły. Na jesiennem polowaniu zastrzelono tam słonkę siedzącą na drzewie. Stan sarn był dobry, dziki były także i mielibyśmy piękne rezultaty, gdyby nie pewne „ale“.

Ówczesny dzierżawca majątku Wielkie Oczy, który nam poddzierżawiał polowanie, porucznik huzarów, sam był wielkim amatorem dzików i polował na nie przez cały rok. W zimie jeździł za tropami po polach i wertepach szerokiemi niewywrotnemi saniami. Jednej zimy zabił sam podobno trzydzieści dzików. My płaciliśmy za końską padlinę, którą podkładano, aby dziki znęcić do miotu, a w dniu naszego przyjazdu zwykle dzików nie było.

Przyjmowano nas wprawdzie bardzo gościnnie we dworze, podawano szynki i kiełbasy z dzików, ale nie o to chodziło. Każden z nas wolał widzieć dzika w miocie na strzał, niż marynowanego na talerzu.

Lasy były przez ostatniego właściciela doszczętnie wyrąbane, pozostała tylko młodzież liściasta, jak brzozy i olszyna, z gęstem podszyciem, istny raj dla cietrzewi.

Pomieszczenie mieliśmy dobre w dworskiej oficynie i nocleg byłby spokojny, o ile nie spał z nami jeden z towarzyszy, który nie umiał się dostosować do drugich. Woził on ze sobą różne leki i maści, któremi nacierał się przed spaniem. Leżąc w łóżku, gdy już wszyscy spali, palił papierosy i czytał gazetę, postawiwszy świecę koło głowy sąsiada. Gdy mu na to zwrócono uwagę, odrzekł, że on tak zawsze w domu robi, gdyż bez czytania nie potrafi usnąć.

Na polowaniu był on chciwy strzału, strzelał nieostrożnie między ludzi i raz na otwartej linji, gdzie się wszyscy widzieli, postrzelał naraz dwóch towarzyszy, szczęściem nieszkodliwie.

— Panu pigułki kręcić, a nie bawić się w myśliwego! — usłyszał od jednego z nich. Był bowiem aptekarzem.

* * *

Później dzierżawił „Bór“ rewir myśliwski w Wysokiej koło Jordanowa, od hr. Żeleńskiego z Budapesztu i od pani G. w Toporzyskach.

Obydwa rewiry graniczyły ze sobą i tworzyły zwarty okręg polowania. Były tam dziki stałe oraz przychodnie ze Sidziny i Spytkowic, a nieraz i ryś nawiedzał tę knieję. Sarn było niewiele, trochę zajęcy i lisów.

Myśliwi przyjeżdżali pociągiem z Krakowa do Jordanowa, skąd dojeżdżali do Wysokiej, odległej o kilka kilometrów. Ja, mieszkając w Zakopanem, dojeżdżałem koleją do Raby Wyżnej, a ztamtąd szedłem pieszo, często nocą na miejsce zboru.

Nocowaliśmy u leśnego Salawy, który podówczas był zarządcą majątku leśnego w Wysokiej. Leśniarka była mała, ale myśliwi chętnie tam nocowali, bo Salawa miał dwie dorodne córki, zdrowe dziewczęta jak łanie. Toteż wszyscy się do nich umizgali gremjalnie lub indywidualnie w kącie, nawet zbyt natarczywie.

Po przyjeździe był na kolację raz na zawsze zamówiony żur z ziemniakami i wędzonką, który już czekał na gości w olbrzymim garnku, używanym zwykle do gotowania bielizny. A że apetyty myśliwych są znane jako dobre, więc każden zjadał po kilka talerzy żuru i domagał się dalszego ciągu. Aby go więc nie zabrakło, gospodyni dolewała ciągle wody do garnka i z gęstego początkowo żuru, robiła się w końcu bura lura.

W czasie kolacji słuchaliśmy raportu Salawy o możliwości spotkania z dzikami. Te prawie zawsze były, o ile ich Salawa nie wypędził, bo on również na nie polował, gdy się naszego przyjazdu nie spodziewał.

— Dziki są, nagonka zamówiona i pieski są — mówił.

Po kolacji zaczynały się opowiadania, anegdotki i kłamstwa myśliwskie, a przedewszystkiem śpiewy. Prym wiódł nasz kantor Kazio S. a mieliśmy między sobą także śpiewaka operowego. Rozpoczynało się pieśnią „Boru“ skomponowaną przez jednego z myśliwych:

„Bór to związek szczery, prawy, wszystkie serca tam wylane,
dla łowiectwa i zabawy zespolone, pobratane.
Kto więc zatem w naszem kole, puhar pełen niechaj chwyta,
a o troski i o bole, pijąc nektar, niech nie pyta“.

Potem następowały różne piosenki ludowe mniej lub więcej swobodne, jak to zwykle bywa u myśliwych.

Do spania trudno było niektórych towarzyszy napędzić, zwłaszcza gdy zaczęli grać w karty, bo to im nie wystarczało, że grali w wagonie przez całą drogę od Krakowa do Jordanowa, przecież trzeba się odegrać.

Nocleg przygotowywano nam w tej samej małej kuchence, gdzie się jadło kolację. Dziewczęta nakładały słomy na podłogę ścieląc ją równo, pod głowę nieco wyżej, przykrywały ją płachtami i na tem układali się myśliwi gęsto jeden obok drugiego, jak zające na rozkładzie.

Leżało tam dwunastu chłopa tak ciasno, że obracając się z boku na bok trącało się sąsiada. Szczególniej uprzywilejowane były miejsca przy ścianie, o które się dobijano, bo miało się tylko jednego sąsiada, a jeżeli ten nie chrapał, to było to idealne miejsce. Unikało się takich chrapiących, gwiżdżących i gadających przez sen, tych zwykle umieszczano obok siebie.

Aby w nocy nie wychodzić na pole w razie potrzeby, umieszczał gospodarz cebrzyk napełniony plewami pod piecem. W ciągu nocy powietrze stawało się duszne i gęste. Nic dziwnego.

Rano łowczy Winkler, dźwignąwszy się z trudem z twardego łożyska, chwytał za trąbkę i przeraźliwem trąbieniem budził śpiącą czeladź św. Huberta.

Zaczynał się wtedy okropny rozgardjasz. Zpowodu ciasnoty miejsca, bo kuchenka była malutka, wszelkie manatki jak futra, płaszcze, ubrania, strzelby, walizy leżały stłoczone na ławie, pod ławą, na stole i w kątach. Zaczynało się szukanie, przewracanie wszystkiego do góry nogami i nieodłączne od tego przeklinanie i wygadywanie na nieporządek.

Wreszcie przynoszono olbrzymi garnek mleka, które migiem zostało wchłonięte przez zgłodniałą rzeszę. Przy śniadaniu usługiwały urodziwe dziewczęta Zosia i Marysia. Każden z myśliwych starał się je dotknąć gdzie mógł dostać, aby mieć szczęście w spotkaniu, w myśl znanego zabobonu myśliwskiego. Nawet stary nasz łowczy z przesadnie poważną miną studjował anatomję.

„A więc w naszem kole, w izbie czy stodole
Każden szczęście garścią chwyta,
A na piski, ceregiele, żaden myśliwy nie pyta“.

To samo powtarzało się przy każdej sposobności. Nic dziwnego, krew nie woda, korzystaj, bo czasu szkoda.

A teraz strzelba na ramię i wymarsz do lasu, bo nagonka i pieski czekają. Ktoś wyjrzał na pole i zobaczył, że wrony kracząc lecą nisko nad łąką, widocznie odprowadzają lisa, który wraca z rozbójniczej wycieczki.

Kilku myśliwych pobiegło, aby mu zabiec drogę od lasu. Jeden z nich stanął na potoczku przecinającym łąkę i zobaczył jakieś duże ciemne zwierzątko, które skokami biegło wzdłuż potoku do lasu, a do którego wrony dolatywały kracząc. Młody myśliwy bez doświadczenia nie wykorzystał spotkania, aby zabić wydrę.

Pierwszy miot brało się oczywiście na dziki. Był to długi kawał lasu z mieszanym drzewostanem, silnie podszyty, graniczący od pola ze Spytkowicami, a węższą stroną z lasem Toporzyskim, gdzie zwykle przechodziły dziki.

Myśliwi stawali na szerokiej linji miotu i na jego końcu, w tak zwanym Rusnakowym potoku, gdzie były najlepsze stanowiska, ale też i trudne do strzału, bo ścieżka była wązka i kręta, a myśliwy stał w dole w młace, mając przed sobą wysoki brzeg zarośnięty młodą świerczyną, a za sobą jeszcze wyższy stok zalesiony.

Toteż zwierz zwykle zatrzymywał się w gąszczu przed myśliwym wietrząc, a potem jak strzała przemykał w dół przez potok i w górę w las.

Tam padło kilka dzików, lecz więcej przebiło się przez te stanowiska bez strzału, lub zostało spudłowanych. Tam również wyszedł na aptekarza ryś, lecz ten, skonfundowany jego pojawieniem się, nie strzelał, bo czekał na lisa, którego jak sądził psy goniły.

Drugi wypadek z rysiem miał inny myśliwy w miocie zwanym Jawornik. Na dosyć szeroką linję wyszedł z miotu na dobrą odległość ryś, myśliwy zaś zdumiał się tak, że zapomniał o strzelbie i strzelił dopiero wtedy, gdy zwierz znikł w gąszczu następnego miotu. Nie przyznał się jednak do tego, mówił, że chybił lisa. Chłopcy z nagonki jednak zdradzili go i powiedzieli, że to był żółty zwierz większy od lisa z krótkim pyskiem i małym ogonem. Wołali też, aby do niego strzelał.

Ten sam myśliwy strzelił raz do wiewiórki, a spadła kuna.

Przez las biegła szeroka linja, wzdłuż której stawali myśliwi. Ale te stanowiska były stracone, bo mioty zupełnie gęsto zarośnięte świerkami tak, że do miotu nie można było wglądnąć, a przecinek nie było. Więc myśliwy stojąc w pełnem świetle łatwo był przez zwierza widziany. Toteż często słyszało się przechodzącego zwierza, lub czuło zapach chlewu, a do strzału nie doszło.

Wszelkie upominania o zrobienie przecinek nie odnosiły skutku. Na jednego z myśliwych siedzącego na stołku wytknął na sztych dzik, ten jako grzeczny człowiek wstał na jego powitanie, dzik skorzystał z tego i cofnął się w miot.

Raz obstawiając stanowiska na Rusnakowym potoku, zobaczyliśmy świeży wchodni trop dwóch dzików. Postawiono mnie tam. W niedługim czasie usłyszałem chrupanie śniegu i nade mną stanęły na sztych dwa dziki, obserwując mnie. Lecz stanęły tak niefortunnie dla mnie, że pień młodego świerka zasłaniał czoło i oko pierwszego, drugi zaś stał tuż za pierwszym.

Strzelać było ryzykownem, stałem więc bez ruchu dopóki dziki nie przegalopowały przez potok. Wtedy strzeliłem. Dzik skwitował kulę, lecz pędził dalej, dopiero drugi strzał go powalił.

Oglądając go dziwiłem się, że pierwsza półpłaszczowa kula nie przeszła go na wylot i zrobiła dużą dziurę wchodową. Widocznie trafiła poprzednio na gałązkę zdeformowała się i dopiero wtedy uderzyła w dzika.

Raz goniły psy stado dzików wzdłuż długiego miotu przeganiając je kilka razy tam i z powrotem, zanim wyszły na myśliwego. Ten strzelał do dwóch sztuk. Jedną powalił na miejscu a drugą postrzelił. Farbiła silnie. Posłano za nią chłopa z nagonki ze strzelbą. Ten doszedł ranionego dzika i dobił go. Słyszeliśmy ten strzał. Chłop wrócił i powiedział, że dzik przeszedł za granicę do sąsiedniego rewiru.

W nocy zajechali chłopi z saniami, zabrali dzika i sprzedali restauratorowi w Jordanowie. To się wykryło i musiał on zapłacić karę. Skradziono nam w ten sposób kilka dzików.

Ładna to była knieja. Dzierżawiono także sąsiednie gminne pola z przylaskami dla zajęcy. Niestety, gdy dzierżawa dworskiego lasu się skończyła, nie chciano odnowić dzierżawy, zatrzymując polowanie dla siebie i nowego leśniczego.

* * *

W Toporzyskach, w których polowaliśmy równocześnie i w Wysokiej, mioty nie były tak zarośnięte, stanowiska były pewne i można było miot widzieć, nie wiedziano tylko, gdzie były właściwe legowiska dzików. Dopiero gdy robiono trzebież gęstej świerczyny koło dworu, pokazało się, że tam leżały dziki, gdzie ich się nikt nie spodziewał.

W jednym z miotów, o ile dzik poszedł niestrzelany, można było dobiec do jednego z dalszych miotów i doczekać się go przechodzącego przez linję.

Dopóki „Bór“ dzierżawił polowanie w Toporzyskach, właścicielka pani G. bardzo gościnnie nas podejmowała. A nie była to rzecz łatwa ugościć tylu myśliwych. Pamiętam jak raz w dzień postny podano na obiad wieczorem pół tysiąca knedli ze śliwkami! Napracowały się kobiety nad ich przyrządzeniem, a myśliwi sprzątnęli je w okamgnieniu. I nocleg mieliśmy wygodny, bo w łóżkach a nie na podłodze jak w Wysokiej.

Niestety nie trwało to długo, bo pani G. nie chciała przedłużyć dzierżawy, zatrzymując polowanie dla swych synów.

Cały urok polowań „Boru“ polegał nie na wielkiej ilości ubitej zwierzyny, bo tej nie było zbyt wiele, ile na dobranem towarzystwie myśliwych zgranych ze sobą, niezazdrosnych i ustępliwych. Oni przeważnie już polują w zaświatach, niewielu z nich pozostało i wspomina te wspólnie spędzone miłe chwile.

Wszystko to minęło jak jakiś piękny sen.

ADAM STARZEŃSKI
KOŚCIELEC

O POZIOMKACH

Siedzę w kolibie, deszcz leje, dym gryzie oczy, gór nie widać, trzydniówka pewna.

Panie Redaktorze! pozwól mi Pan dziś pogawędzić trochę o Ochronie Przyrody. Prawdziwego bowiem myśliwego i tak zwanego *ochraniacza* łączą wspólna miłość oraz wspólnota interesów. Miłość wielka i szlachetna przyrody i wysiłek wielki, szlachetny, by tej przez nich ukochanej przyrodzie nie działa się zbyt dotkliwa krzywda. Po jednej stronie stoją więc ci ideowcy, strażnicy czujni, bojownicy nieutrudzeni a po stronie przeciwnej widzimy nieprzeliczone zastępy niemiłosiernych samolubów, niepomnych że na tym świecie są dożywotnikami tylko i że po nich przyjdą inni, dla których również stworzona została i cudna piękność przyrody i jej szeroka hojność.

Na razie w Polsce zła jest konjunktura dla przyrody. Państwowa Rada Ochrony Przyrody przestała nawet istnieć. Ale istnieje w szerokich warstwach społeczeństwa zdrowy posiew przez nią rzucony, a zwłaszcza — co dla przyszłości pięknego naszego kraju jest ważniejsze — w warstwach najważniejszych, w młodzieży. Śmiało więc i tu da się zastosować znane, dawne przysłowie: dłużej klasztora jak przeora.

A teraz przykład.

Główny szlak turystyczny ze Szczawnicy do Rytra nad Popradem prowadzi przez lasy majątków Szczawnica i Szlachtowa szczytami gór Prehyba i Radziejowa. Góry te skaliste, o glebie płytkiej i dziwnie spadziste, leżą pomiędzy dwiema naszemi w razie większych deszczów nader niebezpiecznemi rzekami, między Dunajcem a Popradem. Dla tych powodów lasy okrywające te strome zbocza uznane zostały jako lasy ochronne i otacza je troskliwa opieka właściciela. Szlak ten jako bardzo piękny a nie przedstawiający zbyt wielkich wysiłków turystycznych jest bardzo często uczęszczany. Lecz turyści nasi często bywają niesforni. Toteż Zarząd lasów w ciągłej walce ze złemi ich nawyczkami umieścił w pobliżu nowego schroniska na Prohybie dużą tablicę, na której czytamy: „Turysto! Bądź kulturalny! Nie niszcz żmudnej pracy leśnika, nie rozpalaj ogni, nie niszcz drzew, nie zaśmiecaj lasów i chodź szlakami turysytcznemi“.

Takie nawoływanie, takie przypominanie napewno niejednego pouczy, powstrzyma lub zawstydzi.

Wspaniałego widoku z grzbietu tych gór na rozległe, uśmiechnięte doliny Dunajca i Popradu, na bielejące w oddali obydwa Sącze, na liczne wioski i osady, nie przesłaniają drzewa, gdyż ścieżka prowadzi krajem olbrzymiego wyrębu 150 lub więcej hektarów wynoszącego, malowniczo na stromych zboczach położonego — własność lasów państwowych, nadleśnictwa Gaboń. Wyrąb ten, jak mnie poinformowano już około 20 lat sobie liczący, został w ubiegłym roku zalesiony, ale jako tak długo odłogiem leżący, więc zdziczały, nie prędko jeszcze zarośnie i dostarczać będzie obficie wycieczkowcom, ku ich wielkiej radości, pięknych górskich kwiatów a przedewszystkiem poziomek.

A z poziomkami to jest tak. Pouczy nas o tem historja pewnego troskliwego ojca, szukającego posażnych panien dla swych licznych synalków. Było to w czasach, gdy do dawnego przedwojennego Krakowa z całej Polski zjeżdżały panny, by dokończyć edukacji lub jak niektóre matki z odległych kresów wówczas się wyrażały: „przywiozłam do Krakowa córeczki dla przetarcia się“. Otóż ów troskliwy ojciec podchodził do upatrzonej panienki i w niewinnej rozmowie zagadywał o poziomki, a jeżeli panienka, biedusia, tem pytaniem zasmucona, żałosnym głosikiem odrzekła: „niema u nas poziomek, rosną tylko borowiki i borówki“ — pośpiesznie przyprowadzał jednego ze swych młodzianów i prezentował go zapłonionej dziewicy.

Panie Redaktorze! już skończyłem, deszcz przestaje padać, idę na rogacza — najlepsza teraz chwila.

Koliba pod Turbaczykiem, 12 lipca 1938.

KORESPONDENCJE

STRZELBICE.

Strzelbice, dnia 17 czerwca 1938.

W korespondencji z maja br. poruszyłem między innemi sprawę podłowczych, pracujących w terenie. Mianowicie nadmieniłem, że ilość podłowczych w naszym powiecie jest stanowczo za mała, przez co podłowczy nie może terenu opanować. Choćby się nawet miało jak najlepsze zamiary i pragnęło się podnieść gospodarkę łowiecką, to jednak siłą rzeczy będąc ograniczonym w działaniu sprawami zawodowemi, rodzinnemi i t. p. i będąc przytem przeciążonym ogromem pracy na zbyt rozległym terenie, łatwo się znużyć albo zniechęcić.

Taki stan napewno istnieje w większości powiatów, nietylko w samborskiem. Daje się więc zauważyć, że kiedy „góra“ Polskiego Związku Łowieckiego jest dobrze zorganizowana, to niestety „dół“ mocno nadal szwankuje i to tylko, mojem zdaniem, z powodu niedostatecznej ilości podłowczych. Wystarczy bowiem tylko rzucić okiem na spis podłowczych w poszczególnych powiatach, aby się przekonać, że przeciętnie jest mianowanych pięciu podłowczych, często nawet mniej, a w niektórych tylko powiatach wyjątkowo więcej.

Mojem zdaniem dałoby się powiat zorganizować w sposób następujący:

Biorę za podstawę znany mi powiat samborski, który jest podzielony na 4 gminy jednostkowe i 11 gmin zbiorowych, w skład których wchodzi od 7 do 14 gromad.

Najprostszą rzeczą będzie mianować na każdą gminę zbiorową podłowczego, a cztery gminy jednostkowe, zwykle rozległością gruntów niewielkie, dołączyć do poszczególnych gmin zbiorowych, w obrębie których dana gmina znajduje się.

Mianowany podłowczy powinien stanowczo mieszkać na terenie danej gminy zbiorowej, a rzeczą jego będzie:

1. Przedewszystkiem zorganizować wszystkich myśliwych mieszkających na terenie gminy, t. zn. zrzeszać ich w M. T. Ł.

i „namówić“ do obowiązkowego prenumerowania „Łowca“. Wychodzę bowiem z tego założenia, że jeśli myśliwy poluje i stać go na wydatki, związane z wykonywaniem polowania, to chyba nie zrobi mu już dużego uszczerbku wydać jeszcze miesięcznie niecałe 2 złote na opłacenie wkładki członkowskiej i prenumeratę „Łowca“.

2. Obowiązkowo bywać na każdem z polowań zbiorowych w swoim rejonie, gdyż tylko w ten sposób naocznie będzie mógł podłowczy zorjentować się o dobrej czy też złej gospodarce łowieckiej na terenach poszczególnych gromad.

3. Po każdem polowaniu podłowczy notuje swoje spostrzeżenia, a z końcem sezonu ma zebrać statystykę łowiecką od poszczególnych dzierżawców i właścicieli i wraz ze swojemi uwagami o zwierzostanie ma przesłać łowczemu powiatowemu.

W ten sposób łowczy powiatowy będzie bardzo dokładnie o każdym nawet zakątku poinformowany i będzie mógł na podstawie relacyj podłowczych swoich wyrobić sobie objektywną opinję o dzierżawcach i gospodarce łowieckiej każdego terenu, a w razie stwierdzenia złej gospodarki odbierać z rąk nieodpowiednich polowania, zamykać tereny i t. p.

Podłowczy, mając niewielki i ograniczony ściśle rejon, będzie mógł dobrze podołać swoim obowiązkom.

Może projekt powyższy, tylko w ogólnych zarysach przedstawiony, zasadniczo nie wnosi wiele nowego, mojem zdaniem jednak po zrealizowaniu go przedewszystkiem zwierzostan na tem skorzysta, a następnie ruszy wreszcie z miejsca zorganizowanie myśliwych w terenie. Dużo tutaj jednak będzie zależało od doboru odpowiednich ludzi, szczególnie tam, gdzie przedewszystkiem brak było dotychczas podłowczych.

Szanowni Myśliwi zechcą się wypowiedzieć na ten temat, ewentualnie i skrytykować moje nieudolne zdanie, zaznaczam jednak, że pisząc te słowa mam jedynie na oku dobro łowiectwa naszego, a przytem mieszkając na t. zw. głębokiej prowincji, mam też możność widzieć wyraźniej pewne nasze braki i niedomagania.

Św. Hubertowi cześć ! *Paweł Radyński.*

NIEPOKOJĄCA STATYSTYKA.

Na zwyczajnej miesięcznej sesji wszystkich wójtów gmin zbiorowych powiatu rzeszowskiego, odbytej w dniu 7 bm., w której brałem udział jako ekspert łowiecki, zaproszony przez starostwo, oświadczyli publicznie dwaj wójtowie, a to: Gorzelski Władysław, wójt gminy zbiorowej Strzyżów i Sieczkowski Wojciech, wójt gminy Niebylec, że prawie na całym obszarze ich gmin polują ciągle sami kłusownicy, że nikt ich z obawy przed nimi nie zwalcza i że jeszcze bardzo wiele broni palnej znajduje się wśród mieszkańców wsi, do tych gmin należących.

Dowiedziawszy się o tym stanie faktycznym ze strony tak poważnej i w sposób bądź co bądź tak niezwykły, zrobiłem zaraz użytek z niego, zawiadamiając o nim urzędowo w imieniu Pow. Rady Łowieckiej zarówno starostwo powiatowe, jak i Powiatową Komendę Policji Państwowej.

Dla ilustracji tych niewesołych stosunków podaję sporządzony urzędowo wykaz skonfiskowanej przez posterunki policyjne broni palnej w rzeszowskim powiecie:

Odebrano w latach:

1935	broni myśl. szt. 84,	wojsk. 71,	krótkiej 189,	razem 348
1936	„ „ „ 101,	„ 88,	„ 229,	„ 408
1937	„ „ „ 10,	„ 62,	„ 247,	„ 309
Razem	„ „ „ 195,	„ 221,	„ 665,	„ 1065

Jest to zapewne drobna tylko część unieszkodliwionych narzędzi do zabijania cudzej zwierzyny. Ile ich jeszcze zostało wśród chłopstwa, Bóg raczy wiedzieć !

Jakże trudno w takich warunkach pracować nad podniesieniem zwierzostanów !

Na prośbę wszystkich wójtów przygotuję dla nich na najbliższą sesję nieco obszerniejszy wykład o znaczeniu łowiectwa w życiu gospodarczem całego kraju.

Rzeszów, w czerwcu 1938. *Władysław Gürtler.*

P. S. Tę tak energiczną i skuteczną akcję w rozbrajaniu wsi, a tem samem i walkę z kłusownictwem zawdzięczamy w pierwszej linii p. Witołdowi Nowakowskiemu, Powiatowemu Komendantowi Policji Państwowej w Rzeszowie.

Bitków, dnia 7 lipca 1938 r.

W Pniowie obok Nadwórnej w lesie gminnym zastrzelił członek M. T. Ł. p. W ł o d z i m i e r z R u d a w s k i w dniu 1 VII. **wilczycę,** wagi 40 *kg,* długość 1.75 *m* wraz z *polanem.* Wyrządzała ona ogromne szkody wśród zwierzostanu.

Inż. Kazimierz Łodziński
łowczy powiatowy



SPRAWOZDANIE MYŚLIWSKIE

Dębica, 6 lipca.

O f i c e r s k i e K o ł o M y ś l i w s k i e 5 P. S. K. posiada siedmiu członków, wszyscy oficerowie służby stałej. Na dzierżawionych terenach łowieckich: Borowa, Pustków, Wola Żyrakowska i Żyraków ubito w roku 1937/38: 262 zajęcy, 110 kuropatw, 10 bażantów, 4 rogacze, 1 lisa. Na polowaniu reprezentacyjnem przy udziale ziemiaństwa z okolicy, ubito 136 zajęcy. Wszystkie polowania prowadził łowczy Koła rtm. Rachwalski.

Sprostowanie

Błąd druku. W artykule Adama hr. Starzeńskiego pod tyt. „Kurhannik“ w nrze 13—14 str. 116, szpalta druga, wiersz 7 od dołu, zamiast Muzeum f i z j o l o g i c z n e ma być Muzeum f i z j o g r a f i c z n e. *Redakcja.*

Ś. † p.

Włodzimierz Hendrich

Łowczy powiatu Dąbrowa tarnowska

Z szeregu myśliwych małopolskich odszedł znów jeden z tych, co w sercu nosili wielkie umiłowanie łowiectwa i przyrody. Syn znakomitego myśliwego, wychowany w środowisku łowieckiem najwyższej klasy, sam przejął się ideą rzetelnych wyznawców św. Huberta i hołdował jej przez całe swoje pracowite życie. Po ukończeniu studjów prawniczych na U. J. poświęcił się służbie administracyjnej, w której jako starosta cenne oddawał usługi łowiectwu. Po przejściu na emeryturę został burmistrzem m. Dąbrowa k. Tarnowa, a z chwilą powstania P. Z. Ł., jako łowczy, organizował myśliwych powiatu dąbrowskiego. Cześć Jego pamięci!

Sekretarjat Oddziału Krakowskiego M. T. Ł.

Dr. Szczepański.

Ś. † p.

Józef Rola Janicki

Em. inspektor i kontrolor ruchu P. K. P., długoletni członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Towarzystwa Myśliwych w Kołomyi i wielu towarzystw w Stanisławowie

Prawy człowiek, wzorowy urzędnik, szanowany i lubiany przez kolegów i podwładnych. Zapalony i wytrawny myśliwy, którego imię pozostanie symbolem prawidłowego łowiectwa na Pokuciu. Nieodżałowany jako towarzysz, niezastąpiony jako autorytet we wszelkich sprawach z zawodem myśliwskim związanych. Zawsze niestrudzony, niezawodny, zawsze pełen pogody i szczerości, zostawia po sobie wielką pustkę i żal serdeczny.

Cześć Jego pamięci!

zaproponowanego budżetu administracyjnego, udzielenia ustępującej Radzie Łowieckiej absolutorjum i prosi o wnioski co do wyboru Powiat. Rady Łowieckiej i delegata do Walnego Zgromadzenia wojewódzkiego na rok 1938/39.

W dyskusji nad sprawozdaniem łowczego zabierał głos szereg członków, a w szczególności:

P. dr. Friser podniósł brak jeszcze dobrej statystyki łowieckiej powiatu, która stanowiłaby podstawę do zainicjowania planowej gospodarki łowieckiej i hodowlanej na przyszłość.

W odpowiedzi zarządził łowczy rozdanie wszystkim uczestnikom zebrania formularzy ankiety statystycznej zarządzonej przez centralę Związku i prosił, aby odpowiedzi na kwestjonarjusze wszyscy możliwie odwrotnie wypełnili i zwrócili łowczemu.

P. dr. Friser daje obszerną charakterystykę terenów łowieckich południowo-wschodniej części powiatu, obejmując tą charakterystyką obszar rejonu oddanego jego nadzorowi jako podłowczego, o powierzchni do 35.000 *ha*. W opisie konstatuje dr. Friser: stan zajęcy słaby z powodu powtarzającej się motylicy; stan sarn bardzo dobry, przechodzący w nadmiar i przerost, wskutek czego dla terenów łowieckich zagospodarowanych przez siebie stara się o odstrzał 150 sarn-kóz. Dzik obrał sobie siedzibę w lasach Horyńca a od r. 1933 i w Nowej Grobli. Lis w ilości ograniczonej znajduje się wszędzie. Kuropatwy wykazują stan bardzo dobry, a to dzięki stosowanemu od kilku lat zimowaniu ich w kojcach i wysadzaniu wiosną. Cietrzew występuje obficie w lasach Horyńca, w lubaczowskiem znikł. Bażant dziki — dzięki intensywnej hodowli w Oleszycach rozmnaża się w lasach okolicznych; słonki obficie, także lęgowe.

P. Jerzy Horoszkiewicz daje charakterystykę terenów łowieckich Nowej Grobli, która niedawno dopiero przydzielona administracyjnie do powiatu lubaczowskiego jest członkom nieznana. W lasach hodowano dawniej sarny, obecnie z powodu szkód w kulturach leśnych i na polach sąsiednich zaniechano sarn, a zapoczątkowano hodowlę lisa.

Tematem obszernej dyskusji stała się sprawa odszkodowań za ziemiopłody uszkadzane przez zwierzynę łowną a w związku z tem sprawa sądów rozjemczych i ich działalności. W dyskusji zabierali głos br. Wattmann, dr. Friser, p. Sulimirski p. Stukart, p. Horoszkiewicz, w końcu powzięto uchwały: *a)* przesłać do wiadomości i zużytkowania M. T. Ł. referat w sprawie sądów rozjemczych opracowany przez p. Stukarta, *b)* zwrócić się do M. T. Ł. z propozycją opracowania i opublikowania instrukcji dla przewodniczących sądów rozjemczych.

Po wyczerpującej dyskusji zapadły uchwały:

1. Przyjąć do wiadomości sprawozdanie z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej za czas do dnia Walnego Zebrania i udzielić ustępującej Radzie absolutorjum.

2. Przyjąć preliminarz budżetu administracyjnego Pow. Rady Łow. w kwocie zł. 50.— w myśl wniosku.

3. Powołać w skład Powiat. Rady Łowieckiej na rok 1938/39: panów: Bolesława Bajorskiego, Jana Bauera, Stanisława Oleńskiego, Tadeusza Topolnickiego, Jerzego Zarzyckiego.

4. Wybrać delegatem do Walnego Zgromadzenia wojewódzkiego p. Jana Stukarta.

W wolnych wnioskach zachęcał zebranych myśliwych p. dr. Friser do udziału w strzelaniu myśliwskiem urządzonem w ramach święta P. W. W. F.

P. wicestarosta Wolański wezwał zebranych do udziału w uroczystym obchodzie 75-lecia bitwy pod Kobylanką, urządzonym staraniem organizacji społecznych powiatu w dniu 12. VI. przy grobie poległych w tej bitwie powstańców z r. 1863. — Uchwalono: Delegacja Polskiego Związku Łowieckiego złoży w czasie uroczystego obchodu na mogile powstańców wieniec.

Na tem po wyczerpaniu porządku dziennego zebranie zamknięto.

Hugo br. Wattmann
łowczy powiatowy.

SAMBOR.

Sprawozdanie z zebrania dyskusyjnego członków M. T. Ł. powiatu samborskiego, które odbyło się dnia 4 czerwca b. r. w Samborze w sali Wydziału powiatowego.

Obecni: pp. łowczy Popiel, wiceprezes sądu okręg. Opolski, nadkomisarz P. P. Fabiański, kapitan Staroń, Dr. Hałuszczyński, Popec, Henryk Bernatowicz i Paweł Radyński. Przewodniczy p. łowczy Popiel i powołuje tymczasowo na sekretarza Pawła Radyńskiego w miejsce nieobecnego p. podłowczego Strzeleckiego. P. łowczy zagajając zebranie otwiera szeroką dyskusję na aktualne tematy łowieckie powiatu. W trakcie dyskusji ujawniono niepożądane i wielce szkodliwe dla gospodarki łowieckiej fakty, jak wydzierżawianie terenów łowieckich mało znanym, względnie wogóle nieznanym myśliwym i chłopom, którzy stanowczo nie dają żadnej rękojmi dobrej i racjonalnej gospodarki łowieckiej, dalej, że zachodzą jeszcze ciągle wypadki tworzenia się cichych spółek kilku i więcej myśliwych. którzy wysuwają względnie podstawiają jednego ze swoich i ten oficjalnie występuje jako dzierżawca, a później taka spółka solidarnie eksploatuje teren. P. łowczy piętnuje te wypadki i uprzedza, że będzie w tych sprawach interwenjował u Władz. Następnie skierowano się z apelem do „Samborskiego Towarzystwa Myśliwskiego“ o dzierżawienie większej ilości terenów łowieckich, a szczególnie takich, gdzie gospodarka jest źle i niewłaściwie prowadzona. Obecni Członkowie Towarzystwa podali do wiadomości, że Towarzystwo przechodzi niestety rodzaj kryzysu i z powodu małej liczebności członków nie dysponuje zasobami pieniężnymi, przez co jest zmuszone ograniczać się z dzierżawami. P. łowczy apeluje do wszystkich myśliwych, a szczególnie do myśliwych miejscowych o poparcie dążeń Towarzystwa Łowieckiego. W dyskusji zabierali głos pp. wiceprezes Opolski, dr. Hałuszczyński, kpt. Staroń i dyr Bernatowicz.

Następnie omawiano szeroko sprawę stanu sarn w powiecie. Z dyskusji wynika, że stan sarn z roku na rok wybitnie poprawia się i to tak ilościowo, jak i jakościowo .Ciągle jeszcze jednak stosunek sarn do rogaczy jest nieodpowiedni. Postanowiono więc, że p. łowczy będzie opinjował pozytywnie ewentualne prośby o odstrzał sarn, lecz jedynie większym własnościom i tylko tam, gdzie będzie istnieć ta pewność, że odstrzał zostanie dokonany prawidłowo i celowo. Zachodzi jednak trudność w uzyskaniu źródeł zbytu na ubite sztuki, jak tego doświadczenie uczy z ubiegłych lat, kiedy zachodziły wypadki, że musiano ograniczyć się w odstrzale z braku nabywcy.

Dalej poruszono sprawę zwalczania kłusownictwa i wnykarstwa w powiecie, p. nadkomisarz Fabiański zapewnił, że poszczególne posterunki P. P. poświęcają dużo czasu i pracy w terenie dla wykorzenienia tego zła, czego dowodem jest, że w ubiegłym roku skonfiskowano na terenie powiatu 50 strzelb i 36 karabinów oraz wielka ilość doniesień karnych. Obecnie zaprzestano sprzedawania skonfiskowanej broni w drodze przetargów, jak to właśnie dawniej miało miejsce i broń idzie w całości na łom, a więc niema obawy, że może dostać się z powrotem w nieodpowiednie ręce. Niestety sprawy sądowe o kłusownictwo i wnykarstwo, o ile dostają się do rąk sędziego niemyśliwego, są zbyt łagodnie traktowane i karane, mimo że wykrycie takiego przestępstwa kosztuje wiele wysiłków. Zwrócono również uwagę na fakty, że ostatnio kłusownicy wzięli się na sposób strzelania zwierzyny z broni małokalibrowej (flobertów) i wskutek cichego strzału przestępstwo takie może długo bezkarnie uchodzić.

P. wiceprezes Opolski proponuje urządzenie w osobnym pawilonie na jesiennych targach samborskich, wystawy łowieckiej. Wszyscy obecni wniosek ten, jako wskazany i bardzo celowy, poparli, a jeśliby w tym roku z jakichś powodów (co jest możliwe) targi nie odbyły się, to sprawę należy uważać za aktualną w roku przyszłym. W dyskusji zabierali głos wszyscy obecni myśliwi.

Przyjęto do wiadomości zapisanie się na członka M. T. Ł. p. Aleksandra Barańskiego z Radłowic.

Zamykając zebranie dyskusyjne p. łowczy stwierdza dużą celowość i potrzebę częstszych zebrań dyskusyjnych, wyraża żal, że niestety w tem zebraniu za mało myśliwych wzięło udział, lecz wierzy, że jedynie sprawy pilne stały na przeszkodzie i że w przyszłem zebraniu zbierze się większa liczba uczestników. W końcu apeluje gorąco, aby jednać jak najwięcej myśliwych na członków M. T. Ł., jak również prenumeratorów pism fachowych, jakiemi są „Łowiec“ i „Łowiec Polski“.

Za sekretarza: *Paweł Radyński.*

Łowczy powiatowy: *Wacław Popiel.*

WYNIK ZAWODÓW W STRZELANIU MYŚLIWSKIEM

urządzonem dnia 3 lipca w Lubieniu Wielkim a zorganizowanem przez Powiatową Radę Łowiecką w Gródku Jagiellońskim i Koło Myśliwych w Lubieniu Wielkim

I. Dzik ruchomy. Odległość 75 *m*, przebieg 8 *m* w 3 *sek*, 5 strzałów kulą.

Staje 17 zawodników.

Wynik:
1. Tadeusz Sulewski 23 pkt. na 25, flakon kryształowy = hr. Bielski.
2. Jerzy Sikorski 22 pkt. na 25, Statuetka = Warsz. Ska Myśl.
3. Mikołaj Wagner 20 pkt. na 25, Kaseta = hr. Wojciech Gołuchowski.
4. Inż. Tad. Sroczyński 19 pkt. na 25,
5. hr. Józef Borkowski 19 pkt. na 25, żetony.
6. hr. Michał Baworowski 18 pkt. na 25,

II. Rzutki. 2 serje po 10.

Staje 15 zawodników.

Wynik:
1. Inż. Adam Ożga 19 pkt. na 20, Zegar biurkowy = = Pow. Rada Łow. Gródek.
2. M. Wagner 17 pkt. na 20, Ryngraf = hr. St. Tyszkiewicz.
3. Wład. Makomaski 16 pkt. na 20, Laska myśliwska = Wydział Pow. Gródek.
4. Inż. Serwatowicz 16 pkt. na 20, Futerał na strzelbę = Kupczyński.
5. hr. M. Baworowski 15 pkt. na 20,
6. Tad. Sulewski 15 pkt. na 20,
7. hr. Borkowski 14 pkt. na 20,
8. Wład. Georgeon 14 pkt. na 20.

żetony

III. Zając ruchomy. Odległość 35 *m*, przebieg 4 *m*, 5 strzałów, śrutem.

Staje 13 zawodników.

Wynik:
1. Faliszewski 4 pkt. na 5, Kaseta i 2 talje kart = = E. Stauffer.
2. Ożga 4 pkt. na 5, Srebrna papierośnica = M. T. Ł.
3. Serwatowicz 4 pkt. na 5, Flaszka w skórze i 4 kieliszki = Koło Myśl. Lubień.
4. Makomaski 3 pkt. na 5, Portfel skórz. = K. J.
5. Borkowski 2 pkt. na 5, żeton.
6. Wład. Świszcz 2 pkt. na 5, żeton.
7. Sulewski 2 pkt. na 5, żeton.

Mistrzostwo Zdrojowiska zdobył Sulewski, mając 40 pkt. Otrzymał kryształ ze złotem obramowaniem, dar bar. A. Brunickiego. (Wagner 39 pkt., Ożga 38 pkt.).

Pogoda — w południe burza z ulewnym deszczem, popołudniu silny wiatr i potężne chmury, niepokojące uczestników.

Ogółem do zawodów stanęło 19 zawodników, a to: Barański Eust., Baworowski, Borkowski, Brunicki Sew., Faliszewski, Georgeon, dr. Kaliniewicz Leszek, Madejski Jan, Makomaski Antoni, inż Ożga, inż. Serwatowicz, dr. Scheinberg, Sikorski, inż. Sroczyński, Stanek Jan, Stauffer Ern., Sulewski, Świszcz Wład., Wagner.

Po skończeniu zawodów przemawiał hr. St. Tyszkiewicz, prezes Rady Pow. Łow., nagrody wręczała Marja hr. Wodzicka.

Imieniem zawodników podziękował gospodarz inż. Sroczyński.

Jackowski.

OBCHÓD 50-LECIA POLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO W ZŁOCZOWIE

Dnia 26. VI. obchodziło Polskie Tow. Łowieckie w Złoczowie 50 rocznicę swego założenia. Zrzeszenie to należy do najstarszych łowieckich w Polsce i do najczynniejszych zarazem. Pragnę mu poświęcić słów kilka.

Na wiele lat przed oficjalnem założeniem. gdy o zrzeszeniach, opartych na statutach, zatwierdzanych przez władzę, nie bardzo jeszcze myślano, istniało ono jako grono myśliwych, którzy w okolicy Złoczowa, Płuhowa i Zawarnicy dzierżawili tak wówczas zwane „gminne polowania". Inicjatywę do założenia towarzystwa o własnym statucie dał Niemiec, rotmistrz Niederreiter i w ten sposób powstało dnia 17 czerwca 1888 „Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie".

Liczyło ono wówczas 11 członków, a pierwszym prezesem był radca sądu Seidler. Składało się przeważnie z urzędników i oficerów garnizonu złoczowskiego. Cieszyło się ogólnym szacunkiem wśród myśliwych małopolskich, uprawiając poprawną wedle ówczesnych zasad gospodarkę łowiecką.

Wojna światowa, której niszczycielski wpływ sięgnął we wszystkie dziedziny kultury i cywilizacji, spowodowała oczywiście letarg tego zrzeszenia, głównie podczas inwazji rosyjskiej, podczas której wszystkim prawie myśliwym zrabowano bardzo skrupulatnie wszelką broń, a kwitnący stan zwierzyny wyniszczono w zupełności.

Za polskich rządów zmieniło ono nazwę na „Polskie Tow. Łowieckie w Złoczowie", a pierwszym powojennym prezesem był inż. Stefan Posadzki, poseł sejmowy.

Od tego czasu dzięki ideowej, bardzo intensywnej pracy zaczęło Towarzystwo przychodzić do siebie, przyjmując jako główną wytyczną zdobywanie obwodów łowieckich z rąk niepowołanych. W tem leży główna zasługa jego na polu łowiectwa naszego. Żmudna, trudna i kosztowna była to praca — ale owocna, bo Towarzystwo dzierżawi obecnie 35.000 *ha* (t. j. $^{1}/_{4}$ powiatu).

Liczy ono obecnie 31 członków, przeważnie urzędników i oficerów W. P. Stan zwierzyny podniósł się bardzo i przeszedł już dawno pod względem ilości czasy przedwojenne; przeciętnie pada rocznie na terenie P. T. Ł. ponad 1000 zajęcy, około 25 rogaczy (wszystkie na podchodnem, kulą strzelane) i około 30 lisów; oprócz tego około 150 kaczek i około 200 kuropatw. Chów bażantów rozwija się pomyślnie.

Podnieść trzeba, że parostki są naogół bardzo dobre, a niektóre okazy zdobyły medale w Berlinie w 1937 r.

Mając tak pięknie zapisaną kartę w księdze łowiectwa małopolskiego i spoglądając z dumą na chlubną przeszłość, postanowiło P. T. Ł. uroczyście uczcić rocznicę swego 50-lecia, urządzając premjowe strzelanie i wystawę trofeów myśliwskich Ziemi Złoczowskiej, względnie zdobytych przez członków tego zrzeszenia.

Dnia tedy 26. VI. po Mszy św. w kościele parafjalnym, udali się członkowie i zaproszeni goście na stadjon, gdzie jest doskonale urządzona strzelnica; tam po krótkiej przemowie prezesa P. T. Ł. i łowczego powiatowego — oddał starosta powiatowy p. Jan Płachta strzał honorowy, poczem rozpoczęło się strzelanie do następujących tarcz:

1. sylwetka rogacza, 10 pierścieni, odległość 75 *m*, 5 strzałów kulą,
2. sylwetka biegnącego dzika, 10 pierścieni, odległość 45 *m*, 5 strzałów kulą,
3. 6 sylwetek (t j. 2 stojące, 2 popiersia i 2 głowy) odległość 15 *m*, 6 strzałów z pistoletu w 10 sekundach,
4. sylweta zająca z krążkiem, 25 kroków, szerokość przebiegu 2,25 *m* (3*), 5 strzałów śrutem Nr. 2 (3,5 *mm*),
5. strzelanie do rzutków, 10 krążków.

Zawody rozpoczęły się o godz. 10 a trwały bez przerwy do godz. 18,15, a brali w niem udział prócz członków również zaproszeni goście, razem około 30 zawodników.

Bardzo piękne nagrody ofiarowała P. W. P. Pionki, wytwórnia „Lignoza" S. A. w Katowicach, Warsz. Spółka Myśliwska w Warszawie, filja W. Sp. M. we Lwowie, wytwórnia „Pocisk", Dtwo 52 pp., Klub Sportowy „Janina" w Złoczowie, Wydział Rady Pow. w Złoczowie, Związek Strzelectwa Sportowego, Okręg lwowski, M. T. Ł., generał Maryański, Zarząd Dóbr Biały Kamień i wiele innych.

Wyniki zawodów były następujące:

Lokata	Rogacz 75 *m* 1	Dzik 45 *m* 2	Pistolet 15 *m* 3	Sylwetka zająca 25 kroków 4	Rzutki 5
I	por. Sołtowski (32/50)	dr. Kaliniewicz (39/50)	dr. Kaliniewicz (6/6)	Saroczak Roman (5/5)	dyr. Wagner M. (10/13)
II	dyr. Wagner M. (30/50)	mjr. Słoniewski (36/50)	Makomaski Wł. (6/6)	inż. Ożga Adam (5/5)	inż. Ożga Adam (9/14)
III	inż. St. Markowski (29/50)	inż. Helzman (35/50)	por. Wysocki (5/6)	Saroczak Leon (5/5)	Makomaski Ant. (9/16)
IV	Makomaski Wł. (29/50)	kpt. Socha (35/50)	rtm. Szenk (5/6)	Makomaski Wł. (5/5)	Saroczak Leon (8/16)
V	mgr. Hupałowski R. (29/50)	Saroczak Leon (32/50)	—	Makomaski Ant. (5/5)	Hupałowski R. (8/19)
VI	inż. Rylski Roman (27/50)	dyr. Ożga Kaz. (31/50)	—	hr. Gołuchowski J. (5/5)	Saroczak Roman (7/15)
VII	—	Makomaski Wł. (31/50)	—	—	—

UWAGA: W kolumnie 1, 2, 3 i 4 oznaczają cyfry w liczniku ilość zdobytych punktów.
W kolumnie 5, cyfry w liczniku oznaczają ilość rozbitych krążków, cyfry w mianowniku liczbę strzałów.

Jak z powyższej tabeli widać, członkowie P. T. Ł. w Złoczowie zdobyli na 29 nagród zaledwie 14 i to przeważnie w strzelaniu śrutowem; resztę nagród t. j. 15 zdobyli zaproszeni goście. Aby poziom sprawności zwłaszcza w strzelaniu kulami podnieść wśród członków zrzeszenia, byłby w przyszłości konieczny trening sumienny pod fachowem kierownictwem.

Bardzo dobre wrażenie zrobiła wystawa trofeów myśliwskich. Sala gimnastyczna w szkole im. Mickiewicza przedstawiała nawet dla widza niemyśliwego bardzo piękny i interesujący widok.

W wystawie wzięli udział i zgłosili do konkursu trofea myśliwskie następujący panowie: pp. Ożga Kazimierz i Adam, inż. Roman Ścibor Rylski, mgr. Roman Hupałowski, Roman, Leon i Karol Saroczakowie, inspektor Wrzak i prof. Kazimierz Leszczycki, a poza konkursem Walery Maryański. Przeważały parostki w liczbie około 300 par. Wśród nich widzieliśmy w grupie inż. Rylskiego dwie pary nagrodzone złotym medalem w Berlinie.

Parostki wystawione przez p. Ożgów, nagrodzone I i II lokatą, mogłyby śmiało na każdej międzynarodowej wystawie konkurować. Na pochlebną wzmiankę zasługują również szable dzicze, wystawione przez inż. Adama Ożgę. Bardzo pięknego żbika wystawił inż. Rylski, a pięknego orła przedniego inż. Adam Ożga.

Wieczorem odbyła się w salach kasyna 52 pp. wieczerza myśliwska, na której wśród ciepłych i serdecznych przemówień i po odczytaniu nadesłanych życzeń i telegramów, mile czas spędzono.

generał W P. s. s. *Walery Maryański*
łowczy powiatowy i delegat wojewódzki.

JESZCZE O IV. OGÓLNO-POLSKICH ZAWODACH W STRZELANIU DO RZUTKÓW W SZCZĘŚLIWICACH OD 5 DO 6 CZERWCA 1938

Od Redakcji:

Wprawdzie opis IV ogólno - polskich Zawodów w Strzelaniu do Rzutków, urządzonych przez P. W. P. Pionki na stadjonie w Szczęśliwicach zamieściliśmy już w Nr. 13—14 „Łowca“ — jednak powracamy jeszcze do tego tematu, otrzymawszy od p. gen. Walerego Maryańskiego uwagi o organizacji tych zawodów i technice strzelectwa rzutkowego. Sądzimy, że zainteresują Czytelników ze względu na aktualność i rozwój tego sportu u nas.

———

Organizacja. Imprezę tę pod względem organizacyjnym uważam za wzór doskonale przeprowadzonych zawodów strzeleckich, tem bardziej godny naśladowania, że zainscenizowana przez P. Zw. Ł. akcja urządzania zawodów strzeleckich o myśliwskim charakterze w każdym prawie powiecie przez Pow. Radę Łow. ruszyła z miejsca żwawem tempem.

Jak już wiadomo strzelano w Szczęśliwcach w dwóch klasach: *klasa A* (zawodnicy, którzy w poprzednich zawodach P. W. P. Pionki mieli 70% lub więcej trafnych rzutków) i *klasa B* (wszyscy inni zawodnicy). W b. r. zgłosiła się niezwykła liczba strzelców, bo aż 109, podczas gdy w r. 1935 naliczyliśmy 52, w r. 1936: 67 a w r. 1937: 70-ciu. Skok tegoroczny wynosi więc około 70%, co świadczy o należytem zrozumieniu celowości i pożyteczności tego sportu. Do zawodów stanęło 126 zawodników, niektórzy bowiem nie przybyli względnie odstąpili.

Do dyspozycji miano tylko 2 dni Zielonych Świąt; chodziło więc o to, by w tym krótkim czasie przeprowadzić bez żadnych ewentualnych redukcji zakreślony program, co nie było łatwem, gdyż każdy zawodnik strzelał w sumie do 100 krążków (w 4 serjach po 25). Strzelano w „rundach“ po 6 zawodników t. j. 5 strzelców na 5 stanowiskach i 6-ty strzelec, awansujący na opróżnione po 1-ym strzale stanowisko. Metoda ta pozwala bardzo ekonomicznie wykorzystać czas i jest zawsze godna zalecenia tam, gdzie na kilku stanowiskach strzela się równocześnie obok siebie. Na dowód ekonomji czasu przytoczę, że wedle moich obserwacji jedna „runda“ (6 strzelców, każdy po 25 strzałów = 150 strzałów) trwała przeciętnie 15 minut. Co się „podawania“ rzutków tyczy, to, jak wiadomo, mogą być „łatwiejsze“ i „trudniejsze“, „świece“, „płaskie szczury“ w lewo i w prawo, „fajki“ i t. p. Aby uniknąć zarzutu protekcjonalizmu przewiduje organizacja P. W. P. Pionki „podawanie“ rzutków wedle pewnego klucza, który jest tak ułożony, że wprawdzie nie pozwala przewidzieć w jakim kierunku rzutek wyleci — ale każdy zawodnik dostaje w sumie jednakową ilość „świec“, „szczurów“ i t. p.

Jak zawsze, dostarczyła P. W. P. Pionki amunicji do samych zawodów bezpłatnie i w nieograniczonej ilości.

Amunicja była pod hasłem najzupełniejszej samowystarczalności, bo proch był „Sokół“, znany chlubnie od szeregu lat fabrykat P. W. P Pionki; łuski, śrut i przybitki z Warsz. Fabryki Amunicji w Targówku, spłonek zaś dostarczyła Lignoza Sp. Akc. w Katowicach. Naboje były elaborowane w W. S. M. na Targówku. Jak wysokiej klasy była ta amunicja, niech świadczy fakt, że podczas treningu i na samych zawodach wystrzelono 21.800 nabojów i wśród nich nie trafił się ani jeden (!) niewypał lub zaciąg; również w browningach śrutowych nie zdarzyło się ani jedno „zacięcie“. Zdaje się, że o bardziej gruntowny egzamin i lepszy rezultat trudno.

Również działanie strzału było fenomenalne, bo rzutki pod uderzeniem śrutu Nr 6 względnie 7 (2,5 *mm* względnie 2,25 *mm* średnicy) rozlatywały się na 60—70 kroków na drobne kawałki.

Co się samej strzelnicy P. Z. Ł. w Szczęśliwicach tyczy — to jest ona niewątpliwie „trudna“; urządzona jest bowiem w ten sposób, że zawodnik, stojący w oddaleniu 15 *m* od „wyrzutnic“ *) widzi talerzyk dopiero, gdy ten osiągnie mniej więcej „barjerę“ t. j. około 50 kroków; ponieważ pewny zasięg strzału śrutowego (śrut Nr. 6) wynosi przy dobrej strzelbie około 70 kroków, strzelec musi się ze strzelaniem bardzo spieszyć, szczególnie, gdy chodzi o dublowanie.

Wogóle na „standzie“ w Szczęśliwicach jest kardynalną regułą danie pierwszego strzału jak najprędzej, by móc „dublować“ na jakąś jeszcze możliwą odległość.

Lokalna znajomość strzelnicy wpływa bardzo dodatnio na rezultat strzałów; mam tu na myśli w pierwszej linji tło, bo oko inaczej spostrzega rzutek na jasno zielonem, inaczej na żółtem a inaczej na tle nieba. Te wszystkie walory mamy na strzelnicy w Szczęśliwicach.

Dalej jest bardzo wskazanem trochę się przećwiczyć, by poznać, jak „grają“ „wyrzutnice“. Dlatego hołduję zasadzie, że każda organizacja zawodów powinna dać zawodnikom możność zaznajomienia się ze strzelnicą i zawodami przed ich rozpoczęciem.

Co się broni i kalibru tyczy — to głównym a właściwie wyłącznym kalibrem, który tu ma szanse, jest kaliber 12. Matadorowie z klasy A posługują się prawie wyłącznie nabojami „long“ (70 *mm*).

Kaliber 16 był reprezentowany, o ile to zauważyć mogłem,

*) Chcąc zastąpić nazwę: „maszyna do wyrzucania rzutków“ jednem słowem, pozwoliłem sobie nazwać ją „wyrzutnicą“.

tylko w 2 egzemplarzach, a kaliber 20 na tego rodzaju zawodach wyszedł już zupełnie z użycia, jako nie mający szans.

Co do systemu broni, były obok normalnych dubeltówek bardzo licznie w użyciu „boki" (dwie śrutowe lufy jedna nad drugą), zwykle z komorą do „longów". Przeważnie jednak widziało się typowe, ciężkie „gołębiarki", również do „longów" w kal. 12.

Widziałem stosunkowo mało browningów śrutowych. Jest to dla mnie poniekąd zagadką, dlaczego na tego rodzaju zawodach, gdzie przecież strzelec w ciągu dnia musi dać około 180 strzałów a nawet 200 (gdy przyjdzie do jakiejś rozgrywki) tak mało stosunkowo używa się tej broni. Wedle mego zapatrywania jest przy tego rodzaju zawodach właśnie o d r z u t broni tym momentem, który wywiera na jakość strzałów wpływ u j e m n y, szczególnie, gdy po „odrobieniu" np. dwóch „rund" i oddaniu np. około 80 strzałów zawodnik kilka razy nieuważnie lub niedość silnie przyłoży kolbę do ramienia i ramię poprzedniemi strzałami sforsowane, zostanie silnie otłuczone. Bardzo dotkliwe otłuczenia prawego ramienia trafiają się przy „dublowaniu" do „szczura w lewo", mianowicie, gdy strzelec, zwracając się w lewo w kierunku rzutka, zamiast przez przesunięcie prawej nogi w prawo, uskutecznia półobrót przez wykręcenie tułowia w biodrach. Wówczas bardzo często kolba, oparta podczas 1 strzału na właściwem miejscu, wysuwa się i osiada na bicepsie. Następstwem tego jest bardzo bolesne otłuczenie. Gdy jeszcze wskutek zanadto silnego przyciśnięcia twarzy do kolby, zrobi się pod okiem „śliwka", dalsze strzelanie zaczyna być torturą. Widziałem już kilkakrotnie na zawodach rzutkowych dobrych strzelców, rezygnujących z dalszego strzelania. Nieocenione usługi w tym wypadku oddaje browning śrutowy, przy którym odrzut, ten wróg dobrego strzelania, prawie całkowicie zużywa się na odryglowanie mechanizmu. Każdy browning, o ile w porządku utrzymany i właściwym smarem (specjalną oliwą!) natłuszczony, repetuje bez zarzutu, co się zaś strzału samego t. j. krycia i przybicia tyczy, to może ta broń śmiało stanąć do konkursu z najdroższą „piżonierką".

Piękną bronią browning nie jest — to prawda! Ale o ile na polowaniu nie lubię go, bo nie daje zwierzynie żadnych szans ujścia cało i bardzo łatwo przyzwyczaja myśliwego do strzelania na nieprawdopodobne odległości (co się kończy w 75% bezcelowem i wstrętnem kaleczeniem zwierzyny) — o tyle przy rzutkach jest bronią najpraktyczniejszą.

Porównując rezultaty osiągnięte w b. r. z rezultatami lat poprzednich, widzimy bezwzględny postęp, co przypisać należy głównie P. W. P. Pionki, która wkładając tyle trudu i pracy, oraz ofiar materjalnych w rozbudzenie i u nas tego tak p o ż y t e c z n e g o sportu, osiągnęła swój cel, bo dziś na wszystkich zawodach stanowią „rzutki" jeden z głównych punktów programu.

Widząc ogólne zainteresowanie sportem rzutkowym odnoszę wrażenie, że w przyszłości trzeba będzie przygotować się na jeszcze większą liczbę zawodników, że dwa dni Zielonych Świąt nawet przy tak sprawnej organizacji, jaką ujawnia P. W. P. Pionki, nie wystarczą i że trzeba je będzie rozszerzyć na 3 dni.

Kończąc niniejszą notatkę, pozwalam sobie pogratulować najpierw P. W. P. odniesionego wzorową organizacją (zasługa p. dyr. Bolda i p. prokurenta Piekarskiego) sukcesu, a dalej również tym, którzy zdołali wyprodukować amunicję, nie dającą na 21.800 strzałów ani jednego niewypału. Jest to bowiem rekord w swoim rodzaju.

Inż. Walery Maryański gen.

VIII. DOROCZNE KONKURSOWE STRZELANIE MYŚLIWSKIE WIELKOPOLSKIEGO TOW. MYŚLIWSKIEGO W POZNANIU

Staraniem Wielkopolskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego w Poznaniu odbyły się w czasie od 25 do 29 maja b. r. konkursowe strzelania myśliwskie na strzelnicy Bractwa Kurkowego w Poznaniu - Szeląg.

Konkurs obejmował strzelania śrutowe do rzutków i zająca oraz kulowe do dzika biegnącego, rogacza stojącego i tarczy olimpijskiej.

Zawody cieszyły się olbrzymiem zainteresowaniem, gdyż zawodników było 98. Zawodami kierował prezes Stowarzyszenia p. Kazimierz T o m a s z e w s k i a funkcje sędziów sprawowali pp. B ł o c h, D e p c z y ń s k i, G ó r e c k i i Z y g m a n i a k.

Zawody rozpoczęły się w dniu 25 maja wobec przedstawicieli władz, gości i licznych członków, których powitał prezes Stowarzyszenia. Zawody zakończono w dniu 29 maja o godz. 20,30 na sali Brackiej w Szelągu. Prezes w krótkich słowach wskazał na cel i zadanie kunkursu oraz podziękował ofiarodawcom licznych nagród, uczestnikom za udział w zawodach i prezesowi Bractwa Kurkowego p. Michałowiczowi za udzielenie strzelnicy. Ponadto przemawiali prezes p. Michałowicz jako gospodarz strzelnicy i wiceprezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego Okręgu VII p. por. Czesław Hawliczek. Sekretarz Stowarzyszenia p. kapitan Stefan Kurzawa ogłosił wyniki konkursu, a prezes p. Tomaszewski rozdał liczne i piękne nagrody.

Za najlepsze wyniki z okresu próbnych strzelań, które odbyły się od 20 kwietnia do 24 maja uzyskali żetony:

p. S z y m k o w i a k Józef w strzelaniu do dzika,
p. G o r z y ń s k i Antoni w strzelaniu do rogacza,
p. G o r z y ń s k i Stanisław w strzelaniu do rzutek,
p. P a w ł o w s k i Jan w strzelaniu do zająca.

Mistrzem Stowarzyszenia w strzelaniu myśliwskiem na rok 1938 został p. Stefan Z y g m a n i a k a wicemistrzem p. Juljan D e p c z y ń s k i.

Dalsze wyniki przedstawiają się następująco:

Rzutki w klasie A.
1. K a ł u ż n y Ignacy 44/50.
2. S z y m k o w i a k Józef 43/50.
3. D y b i z b a ń s k i Franciszek 39/50.
4. P a w ł o w s k i Jan 38/50.
5. P a s z e k Józef 37/50.

Rzutki w klasie B.
1. S t a c h o w i a k Władysław.
2. S k o p p Adolf.
3. P i o t r o w s k i Stanisław.
4. B a n a s z a k Brunon.
5. O l s z y ń s k i Tadeusz.

Zając:
1. K a ł u ż n y Ignacy 22/25.
2. S k o p p Adolf 20/25.
3. dr. M u s z y ń s k i Stefan 20/25.
4. O l s z y ń s k i Tadeusz 19/25.
5. B a n a s z a k Brunon 19/25.

Dzik:
1. S z y m k o w i a k Józef 44/30.
2. dr. M u s z y ń s k i Stefan 43/50.
3. Ż e l a z n y Czesław 43/50.
4. dr. K i e r z y ń s k i Leon 40/50.
5. G a d o m s k i Ignacy 39/50.
6. B a n a s z a k Brunon 38/50.

Rogacz:
1. Z y g m a n i a k Stefan 49/50.
2. S z y m k o w i a k Józef 49/50.
3. B a n a s z a k Brunon 47/50.
4. G a d o m s k i Ignacy 47/50.
5. J a n k o w i a k Józef 46/50.
6. dr. M u s z y ń s k i Stefan 46/50.

Tarcza olimpijska dla Panów:
1. dr. M u s z y ń s k i Stefan 29/30.
2. M u s z y ń s k i Nikodem 29/30.
3. S k i b i ń s k i Franciszek 28/30.
4. M ą k o w s k i Antoni 27/30.

Tarcza olimpijska dla Pań:
1. S z y m k o w i a k o w a.
2. P a s i k o w s k a.
3. K a ł u ż a n k a.

Na zakończenie przemówił prezes p. T o m a s z e w s k i, który podziękował sędziom za współpracę oraz gratulując zwycięzcom ich zdobyczy zamknął zawody hasłem „Cześć Myślistwu".

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Witołd Ziembicki Wydawca: Małopolskie Towarzystwo Łowieckie
PIERWSZA ZWIĄZKOWA DRUKARNIA WE LWOWIE, UL. LINDEGO 4